BEZ PRZYŁBICY

ORGAN MYŚLI I CZYNU

MŁODYCH KATOLIKÓW POLSKICH

ROK II Nr. 7-8

WARSZAWA

CZERWIEC R. P. 1929

CENA 1 ZŁOTY

ROK II Nr. 7—8. Warszawa Kwiecień—Czerwiec 1929.

BEZ PRZYŁBICY

ORGAN MYŚLI i CZYNU
MŁODYCH KATOLIKÓW POLSKICH

ANTONI GRODECKI.

BIĆ SIĘ CZY NIE BIĆ?

W innem miejscu zastanawiamy się zasadniczo nad sprawą pojedynków. Tutaj pragniemy tylko odpowiedzieć na anonimowy artykał, pod powyższym tytułem zamieszczony w kwietniowym numerze „Akademika Polskiego", w bardzo ostrym tonie atakujący organizacje katolickie, które na ostatniem zebraniu Bratniej Pomocy S. U. W. zgłosiły wniosek w sprawie pojedynków.

Właściwie należałoby zacząć od tego ostrego tonu. Wprawdzie sam autor podkreśla na wstępie, że "sprawa potępienia pojedynków bywa dziś uparcie podnoszona nie zawsze sine ira et studio"— jednakże w dalszym ciągu swych rozważań sam popada w zdenerwowanie, którego zaleca unikać i kończy mówiąc o potrzebie skarcenia tych, co zbyt niefrasobliwie usiłują piłować gałąź, na której sami siedzą" (?). Ale ponieważ zbyt jeszcze nisko stoi u nas kultura publicystyczna, by módz żądać od niej rzeczowości i objektywizmu zamiast argumentowania wypominaniem przeszłych grzechów — ograniczamy się jedynie do sprostowania nieścisłości, jakie do omawianego artykułu się zakradły.

Przedewszystkiem nieznany autor — z mentorskiego tonu wnosząc, któryś z głównych przywódców Młodzieży Wszechpolskiej — ma za złe „Odrodzeniu" i „Katolickiej Młodzieży Narodowej że jako organizacje „polityczne", powinny pozostawić sprawę pojedynków do podniesienia na terenie akademickim organizacjom konfesyjnym, podległym hierarchji kościelnej. Zdaje się, że przez „organizacje konfesyjne" autor artykułu rozumie organizacje typu Sodalicji, mających na cele wyłącznie pogłębienie religijne swych członków. I dziwna rzecz zaiste, właśnie od organizacji, które z natury swej działając tylko na własnym terenie, wyrzekają się wszelkiego udziału w życiu społecznem akademickiem żąda autor artykułu podniesienia sprawy pojedynków. Musimy go poinformować, że organizacje katolickie dzielą się naogół na dwie grupy: mające na celu ściśle określone zadania np. konferencje Św. Wincentego (niesienie pomocy ubogim), Sodalicje, (pogłębienie życia religijnego jednostek), Koła Misyjne, (propagowanie haseł misyjnych), oraz na organizacje o szerokim zakresie działalności, organizacje Akcji Katolickiej. Tego rodzaju sprawy, jak poruszona

przez Odrodzenie i K. M. N. sprawa pojedynków, sprawa szczególnej wagi ale wszystkich obchodząca, bezwątpienia podpadają pod działalność organizacji typu drugiego. Zarzut autora artykułu wygląda mniejwięcej tak: jakby ktoś robił zarzut Młodzieży Wszechpolskiej, że kilka lat temu zgłosiła na walnem zebraniu Bratniej Pomocy S. U. W. wniosek stwierdzający nienaruszalność zachodnich granic Rzeczypospolitej. Ależ to był odruch nacjonalizmu, ależ tak nakazywało sumienie! To też nikt z tego zarzutu Młodzieży Wszechpolskiej nie stawiał.

Nie jest więc rzeczą dziwną ani to, że wniosek ten zgłosiliśmy, ani to, że to my go właśnie zgłosiliśmy.

Przechodząc dalej, trzeba stwierdzić, że autor artykułu nie zadał sobie nawet trudu zapoznania się z treścią wniosku o którym pisze. Mówiąc o nim oświadcza, że „tworzył on jakieś sądy honorowe przy Bratniej Pomocy", a kilkanaście wierszy dalej uznaje za słuszny argument kol. Mikułowskiego, uważającego, „rzekomo" że „wniosekten załatwia sprawę teoretycznie, nie zaś praktycznie". Jest tu rażąca sprzeczność. Jeżeli „tworzył jakieś sądy honorowe"—więc jednak załatwiał sprawę praktycznie. Jakże to pogodzić ze „słusznym" argumentem kol. Mikułowskiego?

Otóż faktem jest, że wniosek w pierwszej części kategorycznie potępiając pojedynki, jako niezgodne z duchem etyki chrześcijańskiej — teoretyczne postawienie kwestji — w drugiej, praktycznej części przewidywał załatwianie zatargów honorowych, jeśli zastępcy obu stron na to się zgodzą, przez specjalny komplet Sądu Koleżeńskiego przy T-wie Bratnia Pomoc S.U.W.

Dalszym faktem jest — jakże znamiennym i smutnym, — że Młodzież Wszechpolska jeszcze o godz. 4 pp. w czasie trwania walnego zebrania nie wysuwała żadnych objekcji przeciw temu wnioskowi. Stanowisko jej zachwiało się po porozumieniu z przedstawicielami korporacji. Obawa przed widmem ewentualnego zatargu z twierdzą karnych zastępów przeważyła katolicyzm Młodzieży Wszechpolskiej.

Nie bolejemy nad tem, że nasz wniosek został odrzucony, bo nasz pogląd prędzej czy później zwycięży — ale jeśli co mogłoby nas boleć, to fakt, że teoretycznie potępiając pojedynek w praktyce go popieracie, nie dopuszczając do urzeczywistnienia pierwszych kroków na drodze do jaknajrychlejszego usunięcia zła, — że teoretycznie będąc katolikami, w praktyce nie jesteście nimi — i że wszystkie wasze zasady muszą zejśs na bok przed chwilową „racją stanu".

Nie my siejemy niesnaski! Siejecie je wy sami własnem stanowiskiem i własną niekonsekwencją. Piętnujecie — i słusznie — wypadki, w których zostaje naruszona godność Narodu lub słuszność Jego praw. Jakże możecie chcieć, byśmy nie piętnowali tych wypadków, w których zostaje zlekceważona Nauka Kościoła, którego podobno sami chcecie bronić?

„Kłótnia w rodzinie"? Być może. Boli to was? Może i nas boli. Wyjdzie to wam jednak na pożytek, bo może zrozumiecie że prawdziwy katolik zawsze i wszędzie bez względu na okoliczności winien i musi walczyć o wcielenie w życie zasad Kościoła.

Dokąd tego nie zrozumiecie, nie łudźcie się, że zdołacie obronić Kościół i Naród przed atakiem masonerji!

Dr. KAROL GÓRSKI.

DWAJ MĘŻOWIE STANU.

Są rozprawy, które przeczytać musi każdy człowiek, by zrozumieć otaczający go świat, by poznać drogi swego postępowania, by nie być ślepym i głuchym wśród ciągłych zmian płynących czasów. Tembardziej takie książki znaleść się winny w ręku tych, którzy kierować społeczeństwem mają—nie w duchu przewrotów i rewolucji, nie w sensie poddawania się dominującym prądom, lecz w celu większej i lepszej przyszłości narodu. Do takich dzieł należy opublikowane niedawno studjum p. Georges Goyau „Adversaires politiques et amis Falloux et Persigny“ [1]).

Na tle przewrotów Francji XIX wieku, w czasach, gdy liberalna monarchja Orleanów walczyła z legitymizmem kół konserwatywnych i odruchami bonapartyzmu wśród epigonów wszelkich wojen, na tle ogólnej korupcji i upadku tych czasów jasno się rysują postacie mężów stanu. Przeciwstawiają się ludzie i idee, metody polityczne i drogi realizacji, pada światło na przyczyny zwycięstw, źródła porażek i poprzez walki i zwycięstwa, niełaski i odtrącania, łączy się dwu przyjaciół wrogów politycznych. Nie wyciąga autor wniosków ogólnych, ale z jasnej i przejrzystej konstrukcji dzieła, ze słów obu walczących, jasno się narzucają szlaki i metody, które katolickim działaczom wskazują drogę—poprzez antagonizmy i różnice, i dla nas aktualne.

Kim był Persigny? Szlachcic ten był zapalonym wielbicielem Napoleona, był świetnym teoretykiem bonapartyzmu, nieubłaganym spiskowcem, agitatorem, zamachowcem, którego wola nieugięta postawiła na nogi drugie cesarstwo — by to cesarstwo niełaską go wynagradzało. A obok niego odbija drugi mąż stanu, przyjaciel jego i antagonista.— Falloux. Szlachcic z Anjou, katolik gorliwy, legitymista, starszej linji Burbonów oddany, uczony i publicysta, wódz katolików — twórca słynnej „loi Falloux“, której dobroczynne skutki po dziś dzień odczuwa Francja. On to bowiem złamał monopol państwowego nauczania i dał możność Kościołowi nowe wychowywać pokolenia, prawo którego rewolucja go pozbawiła. Falloux zeszedł w cień: zabrakło go, gdy Zgromadzenie w Wersalu chciało nawracać do tradycji monarchicznej. Niełaska dziedzica tronu hr. Chambord była dlań nakazem, którego łamać nie chciał, by wejść do parlamentu. Lecz to epilog. Wróćmy do początków, by choć w krótkim rzucie streścić dzieje tej przyjaźni, która tak zaważyć miała na losie Kościoła. Nie będziemy się wdawali w szczegóły i analizę: w trzech punktach streścimy istotę jej losów.

Za czasów orleańskich zaczęła się przyjaźń, gdy obaj wytrzymać nie mogli pod liberalną władzą burżuazji Guizotów i Thiersów. Lecz gdy Falloux, legitymista, oddawał się nauce i w dziełach historycznych bronił Kościoła,—Persigny inną szedł drogą. Spisek za spiskiem knuł na rzecz Napoleona. Czem był dla niego Bonapartyzm? Była to idea narodowa, idea wielkiej, potężnej Francji, którą pomniejszały rządy

[1]) „Revue de Deux Mondes“ 98[e] année 14 juillet, 1, 15 août 1928.

Ludwika Filipa. Była to idea narodu, która sama jedna mogła się oprzeć rewolucyjnym fermentom. Persigny się nie obawiał wojny, w imię interesu Francji prowadzonej: „...lepiej tysiąc razy dla społeczeństwa europejskiego rzucać się przez czas pewien na polach bitew, niż popaść w hańbę socjalizmu“ pisał później. Nie był Persigny religijnym: raczej wiał od niego sceptycyzm Woltera, i wiele pracy i wysiłków dokładał przyjaciel jego, by go do katolicyzmu przekonać.

Zamachy Bonapartystów zaprowadziły Persigny'ego do więzienia.

Falloux, jako poseł legitymistów w r. 1846 zasiadł w parlamencie. I nie bez szczególniejszego dla nas znaczenia jest fakt, że pierwsza mowa jego dotyczyła Polski. Przyjaciel jego w Polskę nie wierzył: „...według mnie to naród umarły i który popełnił samobójstwo“ pisał w swym memorjale o sprawie polskiej za Napoleona I. Falloux zgoła inaczej w imieniu Francji Katolickiej i legitymistycznej w parlamencie przemawiał. Uderzył w Thiersa, masona i liberała, który głosił, że „Polska geograficznie, politycznie, nie narodziła się do życia“—rozprawił się z Guizotem, nieprzyjacielem powstań. Do głębi sięgając, potępił naukę XVIII w., naukę pełną hipokryzji, którą do Polski zastosowano—potępił w imię prawdy. Stwierdził, że naród polski nie zginie, że sprawa jego jest kulą u nogi rozbiorców, że Francja nie może uznać bezprawia, a cywilizacja i prawo bez wojny zwycięża. Wzywał, by we Francji emigranci polscy znaleźli drugą ojczyznę, by jeden z pułków francuskich nosił jako godło orła polskiego. Mowa jego przeszła bez echa: liberalne rządy nie chciały popierać sprawy wolnej Polski.

Tak więc z ust katolika i legitymisty znajdowała sprawa polska obronę we Francji. Nie jest to przypadek. I jeśli historjografja nasza w liberałach i rewolucjonistach widzi popleczników sprawy polskiej po rozbiorach, to warto już dziś ze skalpelem krytyki przystąpić do tych poglądów, równie płytkich, jak rozpowszechnionych.

Lecz wrócić nam trzeba do dziejów. Nadszedł rok 1848, i krwawa rewolta ludu, stłumiona przez burżuazję. W izbie republikańskiej zasiadł Falloux, zwolennik monarchji i demokracji, której tryumf uważał za nieunikniony. Monarcha byłby tylko Prezydentem dziedzicznym—w republikę Falloux nie wierzył. Tymczasem bonapartyści prowadzili gwałtowną propagandę i społeczeństwo, bojąc się przewrotów, chyliło się do cezaryzmu. Lecz wśród obaw i oportunizmów Falloux pozostał na uboczu. nie chcą popierać ani Napoleona, ani republikanów. Prezydentem został ks. Ludwik-Napoleon—i zaproponował mu portfel ministra oświaty, Falloux odmówił: nie chciał popierać przygotowań do zamachu. I dopiero naciskany przez ks. Dupanloup, który donosił o groźbach księcia, że poszuka oparcia na lewicy, gdy legitymiści odmówią, proszony przez Napoleona, Thiers'a, Persigny'ego,—wejdzie on do gabinetu księcia-prezydenta. Wejdzie nie bez warunków: liberalna większość się zobowiązała przeprowadzić jego projekt ustawy o szkolnictwie Falloux został ministrem. Złamał i rozbił monopol nauczania, dzieło rewolucji. Kościołowi przywrócił prawo zakładania szkół. Nie długo był ministrem autor ustawy: dokonawszy swego, ustąpił z urzędu, powodowany stanem zdrowia. Żadne prośby nie mogły go skłonić do popar-

cia knowań, których cel był jasny—zamach Napoleona. A gdy ten zamach nastąpił—Falloux usunął się w zacisze, gdzie pracował naukowo.

Lecz stosunki z Persigny'm trwały nieprzerwanie. W ich korespondencji znajdziemy odpowiedź, czy słusznie postępował wódz katolików, odmawiając poparcia rządom Napoleona. Dochodzimy do spraw religijnych. Napoleon nie tolerował krytyki i Montalembert za artykuł o wolności skazany został na pół roku twierdzy. Persigny to tłumaczył przed swym przyjacielem. Jest rzeczą niesłychanie ciekawą zbadać, jak bonapartyzm odnosił się do kościoła — w tłumaczeniu się brzmią akcenty i dziś nam nieobce: „Książe Ludwik wiedział zawsze, że są we Francji liczne szczepy ludzi szaro ubranych, których obyczajów nie zna i których językiem nie mówi". Tłumaczem między nimi i Cesarzem miał być Montalembert. „Ale wkrótce czarni ludzie się oswoili; oni pierwsi odsunęli na bok tłumacza, a otoczyli cezara takim fanatyzmem, że minęli cel" pisał Persigny. Była to mianowicie nieliczna wśród duchowieństwa grupa cezarystów, która ślepo wierzyła w dobrą wolę Napoleona. Kwestja rzymska zadała kłam ich nadziejom.

A dalej na jeden jeszcze fakt charakterystyczny zwrócić chcemy uwagę: Persigny, teoretyk bonapartyzmu, a wówczas minister spraw wewnętrznych, rozwiązał centralę Tow. Św. Wincentego a Paulo. Zarzucono towarzystwu, że były ośrodkiem akcji politycznej. Persigny zrównał Towarzystwa z Wolnomularstwem: i jedne i drugie chciał zorganizować pod egidą państwa, które miało mianować ich naczelników. Konferencje się nie zgodziły — rozwiązano ich centrale. Rzuca to zdecydowane światło na sposób myślenia polityków o typie Persigny'ego: cezaryzm zwycięski łamał jako szkodliwe organizacje katolików, które mu nie służyły. W roku następnym nacisk rządu nie dopuścił do obioru Falloux na członka parlamentu.

Lecz zbliżał się koniec karjery przyjaciół i antagonistów. Persigny popadł w niełaskę i odszedł w zacisze, gdzie umarł wkrótce, pojednany z Bogiem. Zasługa to przedewszystkiem jego przyjaciela, który nigdy nie zaprzestał pracy apostolskiej. Obaj przyjaciele starali się przekonać i wzajemnie nawrócić. Nikt z nich napozór nie odnosił zwycięstwa, — aż na łożu śmierci Persigny kapitulował.

Dwie te postacie stawia przed oczyma p. Georges Goyau. Spokojnemu pracownikowi, a mężowi stanu o wielkiej głębi — przeciwstawia się zamachowiec twórca drugiego cesarstwa. I sądzimy, że w tym antagonizmie i w tych przeciwnościach wykazuje się katolicki typ męża stanu. Nie chcemy tutaj dogmatyzować. Lecz staje przed nami człowiek, który umiał odnieść jedno z wielkich, twórczych zwycięstw katolickich we Francji. I to jest właśnie argumentem za pozytywną wartością tego typu.

Rozprawa p. Goyau wiele myśli wzbudza i wiele światła rzuca na współczesne nawet nasze problematy. Bo odpowiada na przejmujące, proste pytanie: „Jak katolicy zwyciężali?"

Ks. Dr. PAWEŁ STYGER.
Prof. Uniw:Wassz.

ROTUNDA ŚŚ. FELIKSA I ADAUKTA NA WAWELU.

Mauzoleum pierwszych czasów chrześcijaństwa w Polsce.

III.

ROTUNDA NA WAWELU Z PUNKTU WIDZENIA KSZTAŁTU, WIEKU, POŁOŻENIA I CELU.

W tej mierze, jaką dopuszcza zły stan budynku, mogą być jeszcze rozróżnione następujące elementy. A więc chodzi tu nasamprzód o budowlę kolistą o 4,80 m. wewnętrznej średnicy. Budowla ta dalej składa się z czterech przywierających do siebie półkolistych absyd. Absydy były, oczywiście, zaopatrzone w konchowe sklepienia i dosięgały blisko 6-metrowej wysokości, na której wznosił się dopiero budynek z dachem w kształcie namiotu lub, co też jest prawdopodobne, z kopułą sferyczną. W ten sposób całość budowli osiągała jakieś przynajmniej 10 metrów ogólnej wysokości. Lecz co do górnej części budynku nic się nie da stwierdzić pewnego, albowiem wcale się ona nie dochowała. Jest jedynie bardzo prawdopodobnem, że w bębnie musiało się znajdować kilka otworów okiennych, może w liczbie czterech, ponieważ w dolnej kondygnacji mamy tylko po jednem oknie w środku dwóch przeciwległych absyd. W południowym zaś słupie znajduje się wejście, wysokie na dwa i pół metra.

Konstrukcja muru pozwala stwierdzić, że to przejście musiało się tu znajdować od samego początku, dlatego jest zupełnie nieprawdopodobnem, by dawne drzwi, jak to dotychczas utrzymywano, mogły się znajdować w pośrodku północno-wschodniej absydy. Z reguły bowiem absyda, jako taka, nie jest miejscem odpowiedniem na przebijanie wejścia. A przytem każdy przyznać musi, że przybudówka, którą można sobie odtworzyć z nielicznych pozostałości muru i którą utarło się uważać za zakrystję, była albo przedsionkiem w rodzaju małego atrium, albo też, o ile rzeczywiście posiadała kształt półkulisty, zbudowana została dopiero później, jako przystawka, nie mająca nic wspólnego z pierwotnym planem.

Mur jest wywiedziony z płaskich tafli łupnego piaskowca, a uwarstwieniem i kształtem przypomina technikę prymitywnego układania cegły. Zaprawa murarska składa się z wapna bez przymieszki piasku. Wewnątrz zachowały się bardzo słabe ślady po tynku, natomiast ściany zewnętrzne zostawione były widocznie w stanie surowym, za wyjątkiem szlaku wokół okien, który zdradza pewną chęć ornamentacji. Okna są niskie, sklepione okrągło i rozszerzone od wewnątrz i od zewnątrz. Budowa wznosi się wprost na kamieniu skały wawelskiej. Nierówność skały każe przypuszczać, że początkowo na całkiem cienkiej warstwie ziemi (około 20 cm. grubości) znajdowało się jeszcze specjalne podmurowanie. Nadto w przedsionku przed wejściem znajdował się

pokład wapna ze śladami nieforemnych płyt piaskowca, ułożonych poziomo.

Brak miejscowych, w jakikolwiekbądź sposób datowanych objektów porównawczych nie daje żadnego rzeczowego kryterjum, ustalającego datę powstania Rotundy. Oczywiście, równie niepewną jest rzeczą wyprowadzać co do tego jakieś wnioski z techniki budowy ścian, albo z analizy chemicznej wapna [1]), albo z architektonicznego kształtu. Jednakże nieco pewniejszy terminus ante quem zdaje się być danym w fakce, że Konrad Mazowieki około połowy trzynastego stulecia włączył Rotundę w kompleks murów obronnych Wawelu. Okoliczności tej należy wogóle zawdzięczać, że się ta budowla dochowała. Dlatego też jest rzeczą możliwą, że Rotunda już na jakiś czas przedtem była splądrowana i zrujnowana i nie służyła swoim celom. Przez dotychczasowe poszukiwania i odkopywania ustalono, że jeszcze przed trzynastym wiekiem stał na Wawelu kościół katedralny na wschód od obecnej katedry i że był okolony miejscem grzebalnem. Pierwotna ta katedra posiadała trzy nawy długości około 30 m. i miała transept z dwiema małemi absydami na przedłużonej osi ścian naw bocznych oraz kryptę poniżej chóru.

Jest to znany typ romańskiej świątyni z jedenastego wieku. Ale słusznie postawiono pytanie, czy ten kościół był tutaj pierwszym z kolei, a to dlatego, że, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, chrześcijaństwo zostało wprowadzone nad górną Wisłę już na cały wiek przed ustanowieniem biskupstwa krakowskiego około roku 1001. Nie bez znaczenia jest tu zupełnie pewne stwierdzenie faktu, że materjał budowlany i sama konstrukcja Rotundy całkowicie są różne od pozostałości romańskiego kościoła z jedenastego wieku i, w każdym bądź razie, starsze od nich. Jednakże, pomimo wszystko, Rotunda nie była kościołem, przeznaczonym na służbę Bożą. Trzeba pamiętać przecież, że tylko niewielka liczba osób mogłaby się w niej pomieścić. To też z zupełną słusznością można przyjąć, że mniej więcej około roku tysiącznego istniał na Wawelu kościół parafjalny łącznie z mielscem grzebalnem i że właśnie w obrębie tego cmentarza znajdowała się Rotunda w charakterze mauzoleum. Ważną jest tu okoliczność, że wokół starego kościołka *Gersonowskiego*, jaki znajdował się w pobliżu na wzgórzu wawelskim, ale nieco powyżej, rozpościerał się cmentarz, z którego już dawniej, a i w ostatnich czasach także odkopywano szkielety [2]).

Typ Rotundy o dwóch kondygnacjach jest, jakieśmy to widzieli, z samej swej genezy budowlą grzebalną, a więc i tutaj cel nie mógł być inny. Absydy mają normalną dwumetrową szerokość, jaka była odpowiednia dla pomieszczenia kamiennych sarkofagów, a w górze na stosownej wysokości otwierają się okna dla oświetlenia przestrzeni, która z pewnością nie była pozbawiona ozdób, lecz w postaci konch posiadała zwykłe cmentarne wizerunki. Wszystko to, niestety, zginęło, ze smutkiem więc tylko stwierdzamy tę stratę.

Jeszcze jedna okoliczność zasługuje na bliższe rozpatrzenie, a mia-

---

[1]) Porównaj: Dr. L. Kowalski, „O wieku murów Rotundy świętych: Feliksa i Adaukta“, Kraków 1920.

[2]) Rocznik krakowski. Tom XIX. Str. 11.

.nowicie dedykacja Rotundy, która była poświęcona świętym Feliksowi i Adauktowi. Nasuwa to, naturalnie, przypuszczenie, że znajdowały się tu ich relikwje. Nie wiadomo, w jakich warunkach nastąpiło przeniesienie relikwji i czy dotyczyło ono tylko drobniejszych cząstek ciał świętych. Chodzi tu z pewnością o dwu sławnych męczenników z cmentarza Commodilla. Podanie o nich w formie, w jakiej doszło do nas, skomponowane został ok. VII-go wieku. Autor jego posiłkuje się epigramem Damasusa „O semel atque iterum...“, który skopjowany został przez syllogistów na miejscu, w małej podziemnej bazylice cmentarnej. Zachował się tam do dzisiaj fresk z VI-go stulecia, na którym obaj święci przedstawieni są jako klerycy z dużemi tonsurami.

Gdzie były ich groby, nie wiadomo dokładnie. Można tylko powiedzieć, że za czasów Papieża Leona III (795—818) ciała ich spoczywały jeszcze w bazylice katakumbowej, ponieważ „Liber pontificalis“ o życiu tego papieża zawiera taką notatkę: „itemque renovavit sarta tecta B. Felicis et Adaucti martyrum juxta S. Paulum Apostolorum“ [1]). Nie wiemy także, czy papież Pasquali I lub Leon IV dokonali w dziewiątym wieku jakiego przeniesienia. Jeszcze przed upływem tego wieku cały cmentarz Commodilla zapadł się i był opuszczony. Dopiero badacz katakumbowy Boldetti przypadkowo odnalazł ponownie w 1720 r. małą bazylikę podziemną z malowidłami, przedstawiającemi świętych Feliksa i Adaukta. Ale wkrótce potem znów wszystko zostało zapomniane i dopiero w 1903 roku miejsce to odkopano ostatecznie i uporządkowano.

Niejeden kraj przypisuje sobie na podstawie starych dokumentów zaszczyt posiadania relikwij obu świętych. Jednakże nieprawdopodobnem jest, by wszystkie te dokumenty były autentycznemi, ponieważ liczne z pośród nich wymieniają równocześnie całe ciała. Jest to nie rzadkie i łatwe do wytłumaczenia zjawisko, że bez złego zamiaru przyjmowane było totum pro parte. W Acta Sanctorum (Auh. Tom VI) wymienionych jest kilka miejscowości, gdzie mają spoczywać ciała obu świętych Feliksa i Adaukta. Największe prawdopodobieństwo zawiera, być może, notatka Mabillona w rocznikach benedyktyńskich, według której cesarzowa Ermengard otzrymała od papieża Leona IV (847—855) relikwje dla swego klasztoru w Alzacji. Według Martyrologji Galijskiej całe ciała świętych miały być niegdyś przewiezione do klasztoru św. Piotra z Ferrariis w diecezji Sens. Ale także klasztor Heiligenberg w Andechs w Bawarji rości pretensje do obu ciał, jak na to wskazuje Sacrarium benedictinum, a obie głowy-relikwje już w jedenastym wieku czczone były w kościele Apostołów w Kolonji.

Nie można ustalić, kiedy i skąd te relikwje przybyły także i do Rotundy na Wawelu. Znamienne jest tylko, że historyk Długosz, który pisał około połowy 15 wieku, mówi o „Praebenda SS. Felicis et Adaucti“ i oznacza budowlę jako „idolis quondam dicatam“. To ostatnie nie jest znów tak czemś dziwnem, ponieważ twierdzenie, że kościoły nieznanego pochodzenia powstały jakoby na miejscu dawnych

[1]) Duchesne, lib. pont. II, 2.

świątyń pogańskich, było typową tendencją starych kronikarzy. Fakt, że kaplica posiadała tylko imiona świętych Feliksa i Adaukta, jest jasny tylko w przypuszczeniu, że znajdowały się w niej relikwje tych świętych. Prawdopodobnie jednak przybyły one tam nie bezpośrednio z Rzymu, przynajmniej nie całe ciała, lecz może za pośrednictwem zakonników jednego z wymienionych wyżej klasztorów. W każdym razie nie jest to bynajmniej wyjątkiem, lecz właśnie regułą, że w znakomitych mauzoleach ciała świętych albo przynajmniej ich cząstki, składano zazwyczaj zgodnie z tradycją pod małym ołtarzem. Święci ci nadawali kaplicy grobowej nazwę a specjalnemu wstawiennictwu ich poruczani byli ci, którzy spoczywali tam snem wiecznym.

WACŁAW SOBAŃSKI.

Pojedynek wobec Religji i Prawa.

Dotąd jeszcze pokutuje w społeczeństwie polskiem przekonanie, że pojedynek jest jedynym środkiem załatwiania spraw honorowych. Wprawdzie trzeba stwierdzić, że dokonywuje się ewolucja pojęć, że już tylko nieliczne jednostki zasadniczo pochwalają zwyczaj pojedynkowania się, ale liczny odłam zarówno młodzieży, jak i starszego społeczeństwa uważa je za zło konieczne, które się nie da usunąć. Powiada się, że są sytuacje, które jedynie przez odbycie pojedynku można rozwiązać zgodnie z poczuciem honoru. Jest to jedyny rzeczowy argument, który zwolennicy pojedynku przytoczyć umieją, argument powtarzany często i uparcie. Trzeba więc wszechstronnie rozważyć rzeczywistą jego wartość. Jest to tem aktualniejsze, że kwestja pojedynku wkracza dziś w nową fazę. Katolicka młodzież akademicka podjęła walkę z tym wstrętnym przeżytkiem i jest zdecydowana prowadzić tę walkę aż do zwycięstwa. Artykuł niniejszy ma być przyczynkiem do tej walki.

Przedewszystkiem bądźmy konsekwetni. Dlaczego w Anglji pojedynki mogły zaniknąć, a w Polsce nie mogą? Nie jest to chyba objawem mniejszej honorowości anglików. Wszak pojęcie gentelmena — które otaczają opieką nasze „kodeksy honorowe“—wśród nich powstało i z pietyzmem jest pielęgnowane. I druga uwaga — dawno minęły już czasy, gdy za honorowego był uważany tylko mężczyzna i to należący do pewnego stanu czy warstwy społecznej. Wszyscy się zgadzamy, że poczucie honoru posiada każda jednostka ludzka. Więc jeżeli pojedynek jest „jedynym“ środkiem obrony honoru — przyznajmy kobietom prawo pojedynkowania się. Dziwnem się wydaje, dlaczego, gdy znieważy mię np. analfabeta, choćby to był człowiek ze wszech miar czci godny spokojnie przejść mogę nad obrazą do porządku dziennego, gdy zaś uczyni to byle chłystek, zaliczający się do warstwy „inteligentnej“ muszę odrazu stawać do walki orężnej.

Powiada się — pojedynek jest konieczny — nakazują go kodeksy

postępowania honorowego. Zapytam — jaką legitymację moralną, czy choćby formalną, mają panowie Boziewicz czy Pomian, aby wydawać nakazy sprzeczne z nakazami religji i obowiązującego prawa państwowego. Panowie ci dla nikogo autorytetem być nie mogą, zwłaszcza, że kto się choćby pobieżnie zaznajomi z ich kodeksami i wyciągnie wnioski z przepisów wypływające, ten stwierdzi, że panowie ci bardzo słabe mieli poczucie o tem, czem jest honor i godność ludzka w rzeczywistości.

A wreszcie powiedzmy otwarcie, jakie są te wypadki, w których jedynie „krwawa zemsta" zdolna jest zmyć hańbę obrazy. Chyba nie będziemy mówili poważnie o obrazie barw Stowarzyszenia. Jeśli przyprzeć zwolenników pojedynku do muru, to ostatecznie zdefinjują, że chodzi tu o uwłaczenie czci niewieściej bliskiej kobiety. Czy pojedynek podobną sytuację rozwiąże? Rozsądnem rozwiązaniem jest tylko przebaczenie, albo seperacja, a nie danie „satysfakcji" uwodzicielowi—stawanie na jednym poziomie z tak nikczemną moralnie jednostką.

Są to argumenty może drugorzędne, które zwolennicy pojenków obalać będą zarzutami, iż instytucja pojedynku powstała historycznie, że opiera się na tradycji, ale w każdym razie są to zarzuty, które wskazują, że w łonie tej instytucji tkwią wewnętrzne sprzeczności i niekonsekwencje, i że nie jest ona zgodna z chrześcijańskiem i nowoczesnem poczuciem honoru ludzkiego.

Przejdźmy teraz do zarzutów pierwszorzędnych. Pojedynek ma być w pewnych wypadkach jedynem możliwem zadośćuczynieniem doznanej krzywdy. Przedewszystkiem, jeżeli w walce zostaje pokonana strona pokrzywdzona, o żadnem zadośćuczynieniu mowy być nie może. Weźmy jednak wypadek pokonania krzywdziciela. Tu zadośćuczynieniem musiałaby być szkoda, jaką zwyciężony poniósł. Tą drogą dochodzimy do wniosku, iż zwolennicy pojedynku za jedyną odpowiednią formę zadośćuczynienia uważają zemstę. Nie potrzebujemy się rozwodzić, jak podobne stanowisko kwalifikuje etyka katolicka i nowoczesne pojęcia kulturalne. Jeśli jednak zemsta ma być jedynym środkiem zadośćuczynienia dla skrzywdzonej na „honorze" jednostki—to warunki pojedynków winny być bardzo ciężkie, walka powinna być prowadzona aż do śmierci, lub ciężkich ran po jednej stronie. Tymczasem najczęstsze są pojedynki, z których obie strony wychodzą bez jakiejkolwiek szkody na zdrowiu, a jednak uznaje się, iż dają one dostateczne zadośćuczynienie obrażonemu. W czem więc ma tkwić moment zadośćuczynienia?

Częstem jest jednak twierdzenie, że w pojedynku nie tyle chodzi o wyrównanie krzywdy, ile o oczyszczenie honoru, nadwyrężonego obrazą. Tu już mamy zupełne pomieszanie pojęć. Albo jestem jednostką honorową, a w takim razie obraza była całkiem bezpodstawna i honorowości mej umniejszyć nie mogła, albo nią nie jestem, a w tym wypadku pojedynek nic mi nie pomoże. Bezpodstawnem bowiem jest twierdzenie, iż przystępujący do pojedynku wykazuje dużą dozę odwagi, a odwaga jest dowodem honorowości człowieka. Przedewszystkiem przystąpienie do pojedynku nie jest dowodem odwagi, bo często warunki są tego rodzaja, iż jednostka ma pewność, iż żadnej szkody nie poniesie, a zresztą najczęściej przyczyną przystąpienia do pojedynku

jest obawa narażenia się tak zwanej „opinji“. Powtóre odwaga nie jest bynajmniej atrybutem wyłącznie ludzi honoru—wszak odważnymi mogą być najgorsi zbrodniarze.

Możemy więc stwierdzić, że argumenty zwolenników pojedynku grzeszą brakiem logiki. Chcąc rozumować konsekwentnie mumusieliby dojść do wniosku, że pojedynek jako środek rozstrzygania sporów jest tylko formułką i to formułką dowolną, że identyczne znaczenie mogłaby posiadać każda inna formułka, a w każdym razie każda umowa losowa: a w takim razie za najskuteczniejszy i najlogiczniejszy środek rozstrzygania podobnych konfliktów trzebaby uznać potępiane przez wszystkie „kodeksy honorowe“—pojedynki amerykańskie, będące niczem innem jak samobójstwem. I musieliby przyznać, że żadna formułka nie posiada mocy oczyszczania zbrukanego honoru.

W walce z pojedynkiem wysuwa się często argument, że jest on potępiony przez obowiązujący kodeks karny. Ale argument ten okazuje się często zawodnym, bo zwolennicy pojedynku wskazują, że wprawdzie pojedynek jest karalny, ale że ustawa traktuje go ze specjalną względnością, że nie jest on bezwzględnie uznany za przestępstwo. Trzeba więc pójść głębiej i zapomocą analizy stwierdzić, czy stanowisko to jest słuszne: jakie są istotne kwalifikacje prawne pojedynku.

Przedewszystkiem musimy stwierdzić, że instytucja pojedynku jest w zasadniczej sprzeczności z całą linją rozwojową prawa — która przechodzi od samopomocy do wymiaru sprawiedliwości przez państwo. Wydaje się dziwnem dlaczego w dziedzinie przestępstw przeciwko czci, jednostka ma być upoważnioną do samowolnego wymierzania sobie sprawiedliwości, w innych zaś, często może dla niej ważniejszych—np. obrazy uczuć religijnych, zagrożenia życia—takich uprawnień ma być pozbawiona. Podobna niekonsekwencja podważa poczucie prawne społeczeństwa i doprowadza do anarchji pojęć. Trzeba się więc zdecydować, albo dopuszczamy pomoc własną, a ideałem naszym jest ustrój prawny barbarzyńskich plemion germańskich z przed tysiąca pięciuset lat, albo chcemy być społeczeństwem cywilizowanem i praworządnem Tercium non datur.

Chcąc skwalifikować instytucyję pojedynku z punktu widzenia prawnego—rozłóżmy ją na poszczególne składniki. Pojedynek poważny—nie mówimy w tej chwili o osławionych mensurach, jest objektywnie i subjektywnie biorąc zabójstwem lub usiłowaniem zabójstwa, a conajmniej zgodą na popełnienie zabójstwa. Jednocześnie zaś mamy tu element samobójstwa — jednostka bez konieczności naraża się na stracenie życia. Mamy więc tu w jednym czynie dwa przestępstwa moment kwalifikujące dany czyn. Bo chociaż istnieją liberalne poglądy w nauce prawa, iż samobójstwo nie powinno być karane i choć w prawodastwie pozytywnem pogląd ten znalazł odzwierciadlenie, to jednak nawet odrzuciwszy punkt widzenia katolicki — samobójstwo musi być uznane za przestępstwo. Bo jakieś kryterjum dla prawodawstwa znaleść musimy—jeśli odrzucimy kryterjum bezwzględne—prawo Boże, to pozostaje nam kryterjum względne bardzo, ale już jedyne: dobro społeczeństwa. Otóż dla każdego społeczeństwa największą wartość przedstawia życie jego członków i nie może ono być traktowane jako coś, czem się

dana jednostka dowolnie może rozporządzać. A stąd zamach na własne życie jest zamachem na najważniejsze dobro społeczeństwa, a więc przestępstwem.

Zastanówmy się nad momentem najbardziej rozstrzygającym przy kwalifikacji czynu—stanem psychicznym jednostki w chwili jego dokonania. Przy pojedynku walczący godzą na życie przeciwnika z całym rozmysłem i na zimno. Od chwili obrazy do spotkania upłynął już dłuższy okres czasu, gniew, który w chwili naruszenia czci powstał — stracił na swej gwałtowności i bezpośredniości. W żadnym więc razie o afekcie mowy być nie może. A jednocześnie pojedynkujący się miał czas zastanowić się na co się decyduje i mimo to z całą świadomością godzi się na cudze życie.

Na kwalifikację czynu wpływa również stan społeczny i intelektualny spełniającej go jednostki. Inaczej ocenimy czyn analfabety, inaczej filozofa — bo różną jest ich zdolność oceny zjawisk życiowych. Otóż pojedynkują się jedynie przedstawiciele warstw oświeconych, a więc ci, którzy mogą najdokładniej ocenić kwalifikacje moralne i prawne popełnionego przestępstwa.

Idźmy dalej. Chcący zamordować kogoś w pojedynku wybiera najskuteczniejsze po temu środki, ba przygotowuje się do przestępstwa — wszak nie rzadko pozostawia się przeciwnikom odpowiednio długi okres czasu na wyuczenie się władania bronią. Jest więc pojedynek zbrodnią z premedytacją.

Trzeba również zwrócić uwagę na pobudki przestępstwa, jako na moment kwalifikujący czyn. Przy pojedynku mamy do czynienia z pobudkami niższego rzędu. Nie są to pobudki natury etycznej, (bo i takie mogą być), społecznej, patrjotycznej—wprost przeciwnie—głos decydujący ma tu zwykły gruby egoizm—zachcianka jednostki.

Reasumując—musimy stwierdzić, że pojedynek rozważany z punktu widzenia nauki prawa wykazuje zbieg przestępstw zabójstwa i samobójstwa, całkowitą świadomość czynu, brak afektu, że widzimy tu przygotowanie się do zbrodni, a więc premedytację, że pobudki są natury niższej. Wszystko to są momenty obciążające i momenty zachodzące koniecznie. Zdawało by się więc, że pojedynek powinien być traktowany o wiele surowiej od zwykłego zabójstwa, przy którem te cechy najczęściej nie występują, a już bardzo rzadko występują w takim komplecie, jak przy pojedynku. Tymczasem jest wprost przeciwnie, prawodawstwa z dziwną pobłażliwością traktują zbrodnię pojedynku, traktując je jako przestępstwo sui generis, nie hańbiące, wyznaczając o wiele łagodniejszą zań karę. Ba, mamy takie dziwolągi, że kodeksy karne otaczają opieką prawidłowy przebieg pojedynku—czynu uprzednio przez siebie zakazanego. Czytając podobne przepisy chciałoby się zapytać, czy w konsekwencji nie należałoby otoczyć opieką prawidłowy przebieg np. kradzieży.

Trzeba również stwierdzić, że w interesie społeczeństwa leży, by w jego łonie stosunki między jednostkami przybierały formy pokojowe. Tymczasem pojedynek jest zaprzeczeniem pokojowości współżycia. Dziwnem się więc wydaje, że najwięcej obrońców znajduje wśród głosicieli

solidaryzmu narodowego. Trudno zgadnąć, jak chcą oni pogodzić walkę z solidarnością,

Przejdźmy wreszcie do motywów najważniejszych —nauki Kościoła Katolickiego. Przedewszystkiem stwierdzić musimy, iż fałszem, głoszonym przez naukę wrogą katolicyzmowi, jest twierdzenie, iż Kościół uznawał w średniowieczu pojedynki pod formą sądów bożych. Sądy boże są instytucją, która wyszła z germańskiego świata pogańskiego i zawsze przez Kościół była zwalczana. Prawda, że utrzymała się przez długie lata, mimo przyjęcia chrześcijaństwa przez narody europejskie — ale to niczego nie dowodzi. Jasnem jest, że zakorzenione tradycje pogańskie nie mogły zniknąć raptownie, jakby za skinieniem różdżki czarodziejskiej.

Kościół od najdawniejszych czasów potępiał pojedynek jako zbrodnię zagrożoną ekskomuniką. Podlega jej według kodeksu kanonicznego każdy kto należy do pojedynku, lub w jakikolwiek sposób bierze w nim udział czy to radą, pozwoleniem lub zachętą. Podlegają jej sekundanci a nawet doktór i spowiednik, o ileby zgóry przybyli na czas pojedynku celem ratowania rannego. Konstytucje Papieża Aleksandra potępiają i wyklinają pojedynek. Sobór Trydencki nakłada na biorących w nim udział znamię hańby i wyklucza ich z łona Kościoła. Benedykt XIV w konstytucji „Detestabilem" z 1752 roku — zaostrza i powtarza te sankcje. To samo czyni Pius IX w liście apostolskim „Apostolicae Sedis". Wreszcie Leon XIII w liście „O Niegodziwym Zwyczaju Pojedynku" wszystkie te sankcje przypomina i potwierdza.

Słyszy się jednak zdanie, że Kościół popełnia niekonsekwencję potępiając pojedynek, a dopuszczając wojnę — wszak w obu wypadkach w rownej mierze ma mieć zastosowanie V przykazanie. Błąd podobnego rozumowania tkwi w uogólnieniu. Kościół bynajmniej nie uznaje dopuszczalności każdej wojny. „Iustum bellum" zachodzi według jego nauki tylko wówczas gdy przy słusznych przyczynach uczyniono wszystko by uniknąć walki orężnej, dopuszczalną więc jest z reguły tylko wojna obronna, bo jest ona niczem innem, jak obroną konieczną. Jak zaś już wyżej wskazałem pojedynek obroną konieczną nie jest.

Koła liberalne wysuwają często argument, że potępienie pojedynku nie jest dogmatem, a wobec tego nie koniecznie obowiązuje! Rzeczywiście nie jest ono dogmatem — bo nie dotyczy zasad wiary, a moralności. Ale trzeba pamiętać, iż Kościół w dziedzinie moralności posiada prawo nauczania i to nauczania *nieomylnego* i że nieomylność Papieża w dziedzinie moralności jest dogmatem wiary świętej. A więc potępienie pojedynku nie jest dogmatem, bo nim być nie może, ale opiera się na dogmacie.

I dopóki Kościół miał wpływ na życie publiczne społeczeństw, dopóty prawodawstwo świeckie walczy z pojedynkami. We Francji Henryk II w r. 1547 zabrania pojedynkować się; Karol IX ustanawia karę śmierci dla pojedynkujących się; w Polsce w roku 1505 zostają pojedynki, jako „przeciwne religji i zdrowemu rozsądkowi" zabronione.

Ale za to kodeks karny francuski z r. 1810, pisany w duchu „Wielkiej rewolucji" o pojedynkach nie wspomina.

Być może, że dowodząc niedopuszczalności pojedynku, usłyszymy

zdanie: „Wszystko to jest słuszne, ale jeśli chcecie usunąć pojedynek, to trzeba dać coś, coby mogło zastąpić ten sposób załatwiania spraw honorowych". Podobne rozumowanie jest całkiem fałszywe. Przedewszystkiem istnieje instytucja, która doskonale do rozstrzygania spraw tego rodzaju się nadaje — są to polubowne sądy honorowe, a powtóre nie wolno tolerować zbrodni w imię subjektywnego zadowolenia chorej ambicji poszczególnych jednostek.

Trzeba jednak stwierdzić, że poza propagandą zmierzającą do usunięcia pojedynku, mają katolicy w tej dziedzinie jeszcze wiele do zrobienia. Przedewszystkiem trzeba zmienić odnośne ustępy kodeksu karnego. Pojedynek trzeba uznać za zwykłe zabójstwo — tak jak to ma miejsce w Anglji. Trzeba również obostrzyć sankcje przestępstw przeciwko czci. Pozwoli to w konsekwencji obalić przesąd, że sądy państwowe nie są odpowiedniem forum dla rozstrzygania spraw obrony honoru. Następnie musimy wypracować kodeks postępowania honorowego, oparty na zasadach katolickich. A wreszcie co najważniejsze, trzeba przebudować psychikę społeczeństwa. Trzeba więc wytłomaczyć na czem polega katolickie pojęcie godności człowieka, czem jest naprawdę honor i co jest obrazą — te pojęcia są bowiem dziś z gruntu spaczone. Trzeba wreszcie zwalczyć psychozę obrażania i obrażania się i przypomnieć światu, że chrystjanizm pozwala, a często nawet nakazuje darowanie urazy. Jednem słowem trzeba chcieć być katolikiem i w tej dziedzinie.

Rozważania nasze dobiegają końca. Może nie wyczerpały one tematu, może nie wszystkich zdołały przekonać. Walka, którą podjęliśmy, walka oparta o zasady katolickie, nie jest łatwą — trzeba obalić wiele przesądów i wiele uprzedzeń. Ale wierzymy i czujemy, że już zbliża się dzień, gdy nad strupieszałym przeżytkiem pogańskiej giermańszczyzny zatryumfuje głos od Kaina przestrzegający ludzkość—Nie zabijaj.

NA GŁĘBINY.

MYŚLI NA BIEG DNI NASZYCH.

Chcąc poznać i pokochać duszę wschodnią, zwrócimy się do małej książeczki księcia Włodzimierza Ghika p. t. „Myśli na bieg dni naszych". wydanej przed kilku laty w Paryżu w języku francuskim. Znajdziemy tam wyraz głębokich uczuć chrześciańskich wypowiedzianych z jakimś egzotycznym posmakiem, z wnikliwą subtelnością Rumuna, z tą konkretną bezpośredniością, która cały wschód cechuje. Książe Ghika jest jak zapewne naszym czytelnikom wiadomo katolickim kapłanem.

— Szczęśliwi ci, co szukają, albowiem oni już znaleźli i znajdą dwa razy.

— Szczęśliwi ci, co umieją tworzyć radość zapomocą prawdy; ci co prawdę w radość obracają.

— Szczęśliwi ci, co innym czynią radość ze swej radości.

— Szczęśliwi ci, co innym czynią radość ze swoich bólów.

Szczęśliwi ci, co kochaja Boga, bo już się nawet nie zastanawiają nad tem czy są szczęśliwi, czy też nie.

— Biada ci, jeśli brat twój wyobrażać sobie może niebo, jako miejsce w którem będzie mu ciepło i w którem głodu już nie zazna.

— Aby ci przywodzić na pamięć troskę o twych braci, płomienie twego ogniska niech ci się staną jako Krzak gorejący; aby przejąć na siebie ich biedy i nędze, niech dach twego domostwa przypomina ci arkę zbawienia wśród wód potopu.

— Bądźcie szczęśliwi jedni przez drugich.

— Kto się dla drugich ogałaca, ten odziewa się w Chrystusa.

— Jeśli twój brat niesprawiedliwie ci jaką krzywdę wyczyni, winieneś z tego boleć więcej dla niego, niżli dla siebie samego. Albowiem krzywda którą on sobie w ten sposób sam czyni zawsze będzie większą od zła które tobie tem zadaje — gdyż krzywdzi on duszę swoją, nietykając się twojej duszy. A ty jako brat dobry winieneś to głębiej odczuwać, niźli zło które ci on czyni.

— Szczęśliwi ci, co chcieli więcej z siebie wydać miłości i którzy pragnęli ukochać to, co jest trudnem do ukochania. Albowiem ziemia będzie im mniej ciasną a niebo stanie się im przestworniejsze.

— Raniony i chory, dzięki swemu cierpieniu, przestaje być sam sobą by się stać li tylko ranionym i chorym. W takim łatwiej niż gdziekolwiek indziej widzieć Chrystusa we wszystkich i w każdym.

— Bóg dawa tym co dają. Bóg siebie dawa tym co siebie dają.

— Na tym świecie kary Boskie wyrażają naukę lecz nie stanowią odrzucenia niełaski.

— Utajenie ich obecności jest wstydliwością Aniołów.

— Pocieszać — to móc nieść bliźniemu coś co jest bardziej prawdziwe od jego boleści.

— Pocieszać — to powoływać do życia jakąś nadzieję.

— Pocieszać—to odsłaniać w nas samych przed tym który cierpi — miłość Boga ku niemu.

— Zwróć się sam ku temu, który nie śmiał ciebie oczekiwać.

— Dawaj temu który cię nie prosi.

— Kochaj tego co cię odpycha.

— Nic tak nie zbliża do nas Boga jak bliźni.

— Dla tego, któremu Bóg wydaje się daleki — bliźni nigdy nie będzie prawdziwie bliski; dla tego, któremu bliźni nie jest prawdziwie bliski — Bóg pozostanie zawsze daleki.

— Nie zapominaj o tem, że najpiękniejsze dni nigdy nie są najpiękniejsze dla wszystkich.

— W życiu każdego, posiadanie Boga jest jedynem posiadaniem, co do którego możemy być pewni, że nie stanowi ono rabunku względem nikogo, a które przeciwnie ubogaca wszystkich.

— Niechaj nigdy nie przychodzą me radości przez cierpienia innych! Niechaj me cierpienia służą wszystkie do dania innym trochę radości! Niechaj ma dola nic na swej drodze nie miażdży!

— Dla tego który nie widział jak one płyną, łzy mogą wydawać się kropelkami wody zupełnie takiemi, jak inne kropelki.

— Mścij się za przeciwności i próby, których znaczenia i sensu nie możesz zrozumieć — niosąc szczęście i radość istotom które cię nie znają.

— Bardziej łakną korzenie — aniżeli liście.

—Będziesz mi bardziej wdzięczny za to, iż ci pozwoliłem mieć szlachetny odruch (względem mnie) niż za największy podarek jakibym kiedykolwiek mógł ci uczynić. Albowiem najradośniejszy prezent, jaki można jakiejś duszy ofiarować — to zostawić jej możność do wypełnienia dobrego uczynku.

— Pokora jest najlepszem przygotowaniem do chwili śmierci.

— Kto nie jest umartwiony, źle umiera.

— Przedewszystkiem wtedy, kiedy czujesz się zmiażdżony ciężkiem nieszczęściem i troską — właśnie jest dobrze iść pocieszać bóle innych.

— Dawać siebie w takich chwilach, gdy się jest niczem, gdy się nic już w sobie nie posiada, to jest naprawdę dawać odrobinę Boga — i Jego znajdować.

— Tylko jedna rzecz jest potrzebna. Jeśli ją masz nic ci nie zbraknie, nawet skoroby ci wszystkiego zabrakło. Jeśli jej nie masz, chociaż byś posiadł każdą inna rzecz, nic cię niezadowolni.

— Nie powinniśmy się ani dziwić niewdzięczności, ani na nią narzekać. Wdzięczność jest czemś rzadszem, czemś bardziej wysokiem i wzniosłem aniżeli dobrodziejstwo·

Gdy jesteśmy przedmiotem wdzięczności, dostajemy więcej aniżeliśmy dali. (Prawdziwie dajemy gdy niema wdzięczności).

— Raczej niżli by sam miał dawać ubogim dobra, które są w jego mocy, ojciec rodziny woli się ktemu posługiwać ręką swych dziatek pod swoim okiem. A wówczas jego serce nową się raduje radością, patrząc na pocieszonych ubogich i na dobroć swych dzieci. Podobnie Bóg ponad wszystko lubi poprzez nas czynić to dobro które czyni na tym świecie. I wyczuwać się w tem daje z Jego strony jakby zdwojona radość.

— Wszechświat umie uprawiać tajemnicze rzemiosło milczenia. Przepaście i głębokości, jak dobrzy kapłani zachowały dla siebie sakramentalny sekret spowiedzi wszechrzeczy.

Uderzającą jest w tych myślach ciągła wszechobecność Boga w świecie, rzeczach, w nas samych, w naszej woli i działaniu, w naszych bólach radościach i troskach, w każdym pyłku życia i dobra. Dla tego też każda rzecz ożywia się nieprzerwanym bytem przed oczyma czytelnika. Wszystko się uduchowia i wszystko nabiera plastycznego znaczenia, a również tajemniczego blasku. Ta świadomość wszechobecności Boskiej i tej wszechpełni bytu jako jej konsekwencji jest również znamienną cechą duszy wschodu.

Piotr Lasocki.

ŻYCIE UMYSŁOWE i KULTURALNE.

ANNA SŁONCZYŃSKA.

„BOGACTW NIE PRZEKLĄŁ".

Bogactw nie przeklął: tkanin, klejnotów, pachnideł,
czy stołów, opowitych w różową z róż przędzę.
Ale radził wyrywać się z tego, jak z sideł,
i stroić w najświetniejszy z wszystkich strojów: w nędzę.
Rodzin nie wzbronił: pieśni serc, godów niewinnych,
ni domu, dzwoniącego szczebiotem kołyski.
Ale radził — kto siłę ma, wznieść się nad innych
i miłować. jak anioł: nikogo i wszystkich.
Światem nie gardził: ucztą barw, dźwięków, zapachów,
i wszystkiem, co nas w życiu (prócz grzechu) oplata.
Ale radził — przechodniem czuć się w ziemskim gmachu
i kłaść koronę koron: pogardę dóbr świata.

STANISŁAW BRZEZIŃSKI.

RUINY KLASZTORU W BEREZIE KARTUSKIEJ.

Cichy wietrzyk szeleści drzew prastarych liściem,
I słońce jasne, stare opromienia mury.
Śpi klasztor i nie straszne mu gwałty wichury,
Ni ząb czasu, co niszczy wszystko swojem przyjściem.

Śpi spokojnie, i murów basztami zasłonion
Bezpieczny w swym żywocie, przetrwał wrażą rękę...
I spogląda wesoło, w drzew odzian sukienkę,
Trwając w czasie, co niszczy wszystko swoją dłonią.

Stara baszta, co była snać, kościoła wieżą,
A dzisiaj, z poszarpanych murów pustką zionie,
Strojna gniazdem bocianiem, jak w hełmu koronie
Stoi, wokół ruiny cel klasztornych leżą.

Stary park, ścieśnion murem wysokim dokoła,
Otacza cenne szczątk zieloną obręczą,
A z każdego zakątka czar przeszłości woła...
Zda się, że szepty, modłów kartuzkich tu dźwięczą.

Zda się, że słychać kroki i suną postacie,
Zapatrzone w przyszłości jasny dzień dzisiejszy,
Co na tej ziemi polskiej, jak na krwawej szmacie,
Pisały swój testament: ten większy, kto mniejszy.

Szumią drzewa odwieczne, na przeszłości grobie,
A wiatr poleski, zwiewa pył szczątków prastary;
Wiejąc od lasów sinych i nad pól moczary,
O berezkim klasztorze baśni szepce tobie.

Cichą zadumą zewsząd owiany klasztorze,
Śpij spokojnie, i ponad życia nurty rwące
Dobądź mi, jak na piasku nadbrzeżnego łoże,
Wspomnień przeszłości tętno... Twej ciszy nie zmącę.

MOJE KOLEKCJE.

Są czasy w historji, w których nagle rozszerza się umiłowanie kolekcji; są inne, gdzie kolekcje słynne, historyczne zbiory, galerje, muzea najmarniej przepadają. Nic, zdawałoby się nie jest mniej trwałe, jak „fundacje wieczyste“.

Okresem namiętnych zbiorów i kolekcji było Odrodzenie: przyszły po nim Sacco di Roma, wojny i plądrowania Reformacji, trzydziestoletnie zapasy, które wszystkie razem zniszczyły chyba więcej niż zdołano nagromadzić. Weźmy chociażby Hugonotów we Francji i ich wandalskie obrazobórstwo!

Osimnasty wiek znów gromadził po swojemu i skończył się wielką rewolucją, wojnami napoleońskiemi, rozbiorami Polski, które, każda w swym zakresie niszczyły zapamiętale dorobek wieków. Wielki Cesarz brał okazy sztuki i bibljoteki za łup wojenny i rzucając podwaliny wielkich nowożytnych zbiorów państwowych francuskich, pozwalał jednocznie sprzedawać na cegłę i kamień wielką bazylikę Cluny, największy kościół chrześcijaństwa po watykańskiej świątyni...

Zbierano znów planowo, olbrzymio, państwowo w wieku XIX-ym. Archeologja i zbiory stają się przedmiotem polityki międzynarodowej— a wielka wojna znów niszczy na potęgę pomniki, muzea, bibljoteki, zbiory, warsztaty uczonych. Nie mówiąc o Belgji i Francji, nie wspominając Polski—weźmy Rosję chociażby pod uwagę. Co nagromadziła dzieł sztuki i pomników wiedzy i myśli przemoc rosyjskiego imperjum, to wyprzedaje, niszczy i marnuje Bolszewizm. Dzieła i księgi zostają— zbiory niszczeją. Nigdy nie udaje się ludzkości wystawić wieży Babel powszechnej cywilizacji...

Snują mi się te myśli po głowie, wspominając me własne zbiory. Zapewne, były one skromne, ale ileż doniosłych rzeczy chciały one w swej skromności środków ująć i zszeregować! Ile myśli, świadectwa życia wyższego miały one zestawić! Ile ukochania wnieść i światła!... Nie wiem, gdzie one teraz. Może służą innym i to byłoby najlepsze. I one stały się po części ofiarami wielkiej zawieruchy. Pozostaje po nich owoc—ten jest trwały; pozostaje po nich wspomnienie, nieco bolesne, dlaczegóż miałbym się wstydzić wspomnienia? Żal nieraz bierze, że sporo pracy, wiele mojego i innych pamięci i trudu poszło zdawałoby się na marne. Żal, że nie mogę tych pudeł czy tych albumów rozewrzeć przed oczyma tych, których dusza mogłaby z nich czerpać świadectwo o kościele, o katolickiem pięknie, o Bogu.

Ale zostawmy to i pocieszajmy się myślą, że mogą być pożyteczne gdziekolwiek są i w jakimkolwiek stanie się znajdują obecnie. Szmat duszy w nie wszedł. Ta nie przepada. Gdy ją ktoś lub coś zrani, ściąga się i tryska świeżą siłą, nową barwnością — nic jej nie jest tak użyteczne jak śmierć i wszystko, co małe czy wielkie, może zniszczenie pozorne śmierci przypominać.

Programy, to rzecz piękna i może czasem wymowna. Lecz o wiele silniej działa milczenie. Chrystus Pan zbawiał ludzkość w milczeniu, zrzadka przerywanem słowami. Los wielkich czy małych kolekcji, zbieranych na to, by przynosić kilku ludziom zaledwie nieco ideału, nie praw-

dy, zawsze jest skierowany ku rozproszeniu i zatraceniu—chyba na to właśnie, aby zamknąć człowiekowi usta, aby przerwać mowę zbyt śmiałą, aby rozerwać w kawałki tę szczególną pychę żywota, którąby w garść jedną chciała zgarnąć i zamknąć, ścisnąć i z ukochaniem jakiemś specjalnem posiadać klucz od zagadki historycznej, do praw wszechświata. Gdy zbiory się rozproszą — następuje milczenie, zrzadka przerywane słowami—okrzykami tych—którzy tu i tam cząstki ich odnajdują. Mówimy albowiem i myślimy sylabami. Wyrazy i zdania, zdania pełne i ostateczne tają się przed nami za firanką, za chmurką na niebie, której na imię: śmierć i zniszczenie.

Nie bójmy się klęsk!

Wacław Krzyżkowski.

„SŁOWACKI“ WOŁOSZYNOWSKIEGO.

Nie można powiedzieć, by zapełnie słusznemi były słowa Stanisława Wasylewskiego w przedmowie do powieści o Słowackim, gdy twierdzi, że „przystępując do obcowania z nią, o Słowackim można nic nawet zgoła nie wiedzieć“. Czytelnika, prągnącego za pośrednictwem Wołoszynowskiego, zapoznać się z nieznajomym jeszcze poetą, spotkałby istotny zawód. Nie dowiedziałby się z tej książki ani o tem, co Słowacki z dnia na dzień robił, ani gdzie przebywał. Bo nie jest to powieść o Słowackim, ale powieść o duszy Słowackiego. Powieść o nieukojonych jego tęsknotach, o gorących jego ukochaniach, o najtajniejszych jego przeżyciach.

Napróżno chcianoby tam szukać t. zw· prawdy historycznej, zbieżności z tem, co o życiu Słowackiego wiemy. Ale bo też autorowi zgoła o coś innego chodziło: o ukazanie Słowackiego takim, jakim się jawił jego wyobraźni, jakim się jawił rozkochanemu w osobie wieszcza serca. To też fakty i zdarzenia życia nie są tam samą treścią a tylko kanwą, podkładem do wielkiej improwizacji o Slowackim - Anhellim, Słowackim-Beniowskim, Słowackim-Królu Duchu, może najbardziej bez wiedzy autora o Słowackim-Fantazym. Nie skrzętne badania poczęły tę książkę (choć niezawodnie wiele czasu poświęcił im sumienny aumienny autor), ale wielkie umiłewanie i graniczące z uwielbieniem zapatrzenie się w tę przedziwną duszę.

I w tem właśnie leży niebezpieczeństwo. Naogół Słowacki takim, jakim go oczyma autora oglądamy, wydaje się na pierwszy rzut oka całkiem obcy. Całkiem nowy. Całkiem inny. Nie przywykliśmy jeszcze do niego. Dziwi nas, oszałamia: ba, żeby tylko: drażni. To probiazgowe, anatomiczne śledzenie za każdem wzruszeniem, za każdem drgnięciem rozkrajanego serca, odstręcza mniej wyrobionego czytelnika, zwłaszcza o ile ten jeszcze Słowackiego nie zna, więc jeszcze nie kocha, więc jeszcze nie pragnie się w niego wczuwać. A autor go do tego zmusza. A autor to właśnie każe mu robić.

Najmniej razi to jeszcze w pierwszych rozdziałach. Jest tam po równo z fantazji i życia. Rozumiemy doskonale tego młodego poetę,

schylonego nad kolumnami cyfr w Komisji Skarbu, gdy myśli o zgoła czem innem. Ale idąc za temi myślami, tracimy go z oczu. Nie tak jak później, gdy autor mówi coraz to skąpiej o tem, co poza Słowackim a coraz szczodrzej o tem, co w Słowackim. Końcowe rozdziały stają się nieledwie jakowemś misterjum, daleką wizją, przedziwnym chórem, w którym jak białe pajęczyny w chłodnem jesiennem powietrzu snują się niewyraźne reminiscencje faktów, zdarzeń, słów.

Ze względu na charakter dzieła nie sposób kłócić się w tem miejscu z autorem o takie a nie inne przedstawienie pewnych rzeczy. Mam na myśli Towiańskiego. Toż on u Wołoszynowskiego stał się apostołem nowego objawienia! Toż wyrósł na nowego proroka! Toż stał się nieledwie archaniołem Słowackiego! Czy nie jest to trochę za wiele?

Wszystko to, co o powieści Wołoszynowskiego powiedziałem nie ujmuje nic wartości jego dzieła. Przemówi ono potężnie do tych wszystkich, co Słowackiego kochają, zbliży ich do niego, owionie wielką miłością, z której się było poczęło.

Antoni Grodecki.

DOKUMENTY CHWILI.

KONSTYTUCJA APOSTOLSKA.

o coraz gorliwszem popieraniu liturgji, śpiewu gegorjaskiego i muzyki kościelnej.

Pius. Biskup, Sługa Sług Bożych, na wieczną rzeczy pamiątkę

Świętość Liturgji.

Odebrawszy od Chrystusa Założyciela żadanie czuwania nad świętością czci Bożej, winien Kościół, nie tykając istoty Ofiary i sakramentów, zarządzić to, czem się owo wzniosłe i publiczne posługiwanie najlepiej dokonuje — mianowicie, cześć religijną, obrzędy, rubryki, modlitwy, śpiew — co określa się mianem Liturgji, jako czynności świętej w znaczeniu szczególniejszem. A liturgja jest sprawą naprawdę świętą przez nią bowiem podnosimy się do Boga i łączymy z Nim, poświadczamy Mu wiarę swoją i najściślejsze wobec Niego przejmujemy zobowiązania za odebrane dobrodziejstwa i zasiłki, potrzebne nam nieustanie. Stąd zachodzi pewien związek wewnętrzny pomiędzy dogmatem a liturgją świętą, oraz pomiędzy czcią chrześcijańską a uświęceniem ludu. Z tego powodu Celestyn I mniemał, że w czcigodnych rubrykach liturgicznych wyłożono prawidło wiary, mówi bowiem: „Przepis, jak się modlić, ustanawia przepis, jak wierzyć. Kiedy bowiem najwyżsi pasterze ludów nabożnych powierzone sobie sprawują poselstwo, wstawiają się u łaskawości Bożej i proszą i błagają wśród westchnień całego Kościoła“. (I Epist ad episc. Gal. Patr., Lat., L. 535).

Doniosłość spraw liturgicznych w pierwszych wiekach chrześcijaństwa.

Wspólne te modły, zwane naprzód dziełem Bożem (opus Dei). później powinnością wobec Boga (officium divinum), jakby długiem codziennie Bogu spłacanym, zanoszono niegdyś dzień i noc z gorliwym współudziałem wiernych. I podziwienia jest godna rzecz, jak wielce owe śpiewy, zdobiące nabożne modlitwy i czynność liturgiczną, już od najdawniejszych czasów przyczyniały się do rozbudzenia pobożności wśród ludu.

W starożytnych bowiem przedewszystkiem bazylikach, w których biskup, kler i lud naprzemian śpiewem wysławiali Boga, pienia liturgiczne taki przemożny wywierały wpływ, że wielu bardzo barbarzyńców, jak świadczą dzieje, zwracało się do kultury chrześcijańskiej i ogólnoludzkiej. W świątyniach poznawali wrogowie prawdy katolickiej głębiej dogmat świętych obcowania: z tego powodu arjanin Walens, niezwykłym jakimś lękiem podczas tajemniczej ofiary Bożej, sprawowanej przez św. Bazylego, ogarnięty, upadł na duchu, a w Medjolanie heretycy zarzucali św. Ambrożemu, że urzeka tłumy śpiewami liturgicznemi, pod których wpływem August powziął zamiar zostania chrześcijaninem. W kościołach też, w ktorych z całej niemal miejscowości chór powstawał potężny, robotnicy, architekci, malarze, rzeźbiarze, literaci nawet, zdobywali przez liturgję tę znajomość spraw teologicznych, która dziś w pomnikach owego średniowiecza przebija tak wyraziście.

Troska papieży o liturgję.

Stąd można zrozumieć, dlaczego Papieże tak troskliwie strzegli i bronili liturgji, a jako wielce troszczyli się o określenie dogmatu odpowiedniemi słowy, tak zarządzali pilne i zachowywali i chronili przed wszelkiem skażeniem przepisy św. liturgji. Jasną również jest rzeczą, dlaczego Ojcowie święci liturgję św. (albo przepisy modlenia się) słowy i pismy wyjaśniali a Sobór Trydencki wyraził życzenie, aby ją ludowi chrześcijańskiemu tłumaczono i wyjaśniano.

Jeśli zaś o nasze chodzi czasy obecne, Pius X wytknął sobie przed laty XXV w zarządzeniach owych, obwieszczonych przez Motu Proprio a odnoszących się do śpiewu gregorjańskiego i muzyki świętej, jako cel główny rozbudzenie i rozwinięcie ducha chrześcijańskiego, wśród ludów przez rozumne usunięcie tych naleciałości, które nie odpowiadały świętości i majestatowi świątyni. W tym bowiem zamiarze wierni schodzą się do domów Bożych, aby czerpać tam pobożność, jako u źródła szczególnego, przez czynne uczęszczanie w czcigodnych tajemnicach Kościoła i jego uroczystystych modłach publicznych.

Wpływ dodatni muzyki jako sztuki wiernej przepisom kościelnym

Nie mało więc zależy na tem, aby to, co jest ozdobą liturgji, ujęte było w jakieś prawidła i przepisy Kościoła i aby sztuki piękne służyły w rzeczy samej, jak się tego słuszność domaga, jako pomocnice wielce znakomite czci Bożej. nie wyjdzie to sztukom pięknym, w miejscach świętych używanym, nietylko na szkodę, lecz na większą cześć i chwałę.

Spełniło się to w sposób przedziwny na muzyce świętej, gdziekolwiek bowiem owe przepisy starannie przeprowadzono, tam pojawiła się piękność cennej tej nad wyraz sztuki i duch religijny wspaniale począł się rozwijać; lud bowiem chrześcijański, duchem liturgicznym głębiej przejęty, przywykł do gorliwszego udziału i w nabożeństwie eucharystycznem i w śpiewie świętym i modłach publicznych, Doznaliśmy tego sami ku radości Naszej, kiedy w pierwszym roku pontyfikatu Naszego potężny chór kleryków wszystkich narodów uświetnił śpiewem gregorjańskim uroczystą Mszę Świętą którąśmy w Bazylice Watykańskiej odprawili.

Przyczyny dla których nie wszędzie wprowadzono w życie przepisów kościelnych o muzyce.

Już zaś ubolewać tu trzeba nad tem, że w niektórych miejscowościach przepisów tych, pełnych mądrości, nie przeprowadzono; stąd też nia zebrano z nich oczekiwanych owoców. Wiemy bowiem dobrze, że jedni wmawiali sobie, że ich prawa, wydane tak uroczyście, nie obowiązują, niektórzy zaś poddali się im naprzód, ale powoli skłonili się ku temu rodzajowi muzyki, który należy ze świątyń precz usunąć, gdzieniegdzie w końcu uważano się z powodu uroczystych zwłaszcza rocznic słynnych muzyków za uprawnionych do wykonania w świątyni niektórych utworów, lubo pięknych, ale jako nie odpowiadających świętości Domu Bożego i liturgji, zupełnie niemożiwych w kościołach.

Wskazania Ojca Świętego.

Aby jednak duchowieństwo i lud prawom tym i przepisom, które święcie i nienaruszenia w całym Kościele zachować należy, sumienniej się poddało, pragniemy niejedno dorzucić z doświadczeń, zdobytych w ubiegłych 25 latach. Czynimy to tem chętniej, że w tym roku obchodzono nietylko pamięć poruszonego już odnowienia muzyki świętej, lecz również wspomnienie mnicha owego słynnego, Gwidona z Arezzo, który, przybywszy przed dziewięciuset mniej więcej laty na wezwanie Papieża do Miasta Wiecznego, wyjawił ów genjalny swój wynalazek, za pomocą którego śpiewy liturgiczne, od wieków już przekazywane, i łatwiej mogły się rozpowszechniać i na pożytek i ozdobę Kościoła i sztuki nie skażone na przyszłość się zachować.

W pałacu laterańskim, gdzie ongi św. Grzegorz Wielki po zebraniu uporządkowaniu i pomnożeniu skarbu świętej melodji, jako spuścizny i upominku Ojców, szkołę ową przesławną dla utrwalenia prawdziwej interpretacji śpiewów liturgicznych tak mądrze ustanowił, czynił mnich Gwidomi doświadczenia swego wynalazku wobec kleru rzymskiego i samego Papieża, który, zalecając gorąco i wynosząc zasługi, sprawił, że nowość ta szeroko i daleko powoli się rozeszła i wszelki rodzaj muzyki stąd wielką odniósł korzyść..

Pragniemy zatem wszystkim Biskupom i Ordynarjuszom, którzy jako strażnicy liturgji, o sztuki święte w kościołach troszczyć się winni polecić tu niejedno, jakby odpowiedź na życzenia, przedłożone Nam z tylu kongresów muzycznych, mianowicie z ostatniego zjazdu, odby-

tego w Rzymie, przez wielu zacnych Pasterzy i gorliwych bardzo w tej sprawie działaczy, których zasłużoną tu pochwałą zaszczycamy, nakazując, by poniższe zasady z użyciem jaknajskuteczniejszych dróg i środków przeprowadzono.

Spiew gregorjański ma być wpajany w szkołach powszechnych i w gimnazjach.

I. Kandydatom stanu duchownego należy nietylko w seminarjach, ale i w domach zakonnych, już od pierwszej młodości wpajać śpiew gregorjański i muzykę św. z tego powodu, że wtedy łatwiej nauczą się modulacji i tonów, a niedomagania głosu, jeśli im podlegają, usunąć albo przynajmniej naprawić mogą, później w latach dojrzalszych nie zdołają ich wyleczyć. Rozpocząć trzeba naukę śpiewu i muzyki od szkoły najniższej i udzielać jej następnie w gimnazjum i liceum, w ten sposób będzie można tym, którzy mają przyjąć święcenia, jako zaprawionym z wolna w spiewie, podczas nauk teologicznych bez jakiegokolwiek wysiłku i trudu podać ową wyższą wiedzę, słusznie bardzo estetyką śpiewu gregorjańskiego i muzyki, polifonji i organ nazwaną; wypada niewątpliwie, żeby duchowieństwo ją znało dokładnie.

Śpiew gregorjńaski w seminarjach.

II. Niech więc w seminarjach i innych uczelniach odbywa się celem urobienia obojga kleru krótkie ale częste, niemal codzienne zajęcie i ćwiczenie się w śpiewie gregorjańskim i muzyce świętej; jeśli wykonywać się je będzie w duchu liturgicznym, przyniesie umysłom alumnów po naukach poważniejszych raczej wypoczynek, niż znużenie. Rozleglejsze i pełniejsze wyszkolenie obojga kleru w muzyce liturgicznej przyczyni się niechybnie do przywrócenia officium choralnego, części czci Bożej szczególniej do dawnej godności i świętości, a zarazem do podniesienia szkół i tak zwanych kapel muzycznych do dawnej chwały

Należy przywrócić officium chórowe.

III. Kierownicy i wykonawcy czci Bożej w bazylikach i katedrach, kolegjatach i świątyniach zakonnych powinni wszelkiemi siłami starać się o odnowienie officium choralnego rzetelnie, to znaczy wedle zarządzeń Kościoła; nietylko o to, aby wedle ogólnego przepisu officium odprawiano zawsze zgodnie, z uwagą i pobożnie, ale także wedle prawideł śpiewu, w psalmach bowiem pilnie baczyć należy i na tony, medja i zakończenia, wymagane w melodji, i na odpowiednią przerwę przy asterysku i na owo zgodne śpiewanie wierszy psalmów i strof hymnów. Jeśli się to znamienicie wykona, wtedy wszyscy należycie śpiewając, okazują nietylko w przedziwny sposób jedność umysłów swoich w uwielbianiu Boga, ale w współzawodnictwie dwóch chorów naśladują niejako ów śpiew chwalebny Serafinów, odzywających się jeden do drugiego: „Swięty, Swięty, Święty“.

Kapituły katedralne i zakonne winny troszczyć się o śpiew liturgiczny.

IV. Aby zaś nikt na przyszłość nie szukał wymówek, aby uważać się za zwolnionego od obowiązku poddania się prawom Kościoła, winny wszystkie kapituły katedralne i zakonne o sprawach tych radzić na sesjach; a jako niegdyś istniał kantor albo rektor chóru, tak należy na przyszłość w chórach kanonickich i zakonnych wybrać znawcę, któryby i przepisy liturgji oraz śpiewu chóralnego przeprowadził, i błędy poszczególnych osób i chóru całego naprawił. Przy tej sposobności nie można pominąć przepisu, z dawnej i nieprzerwanej praktyki Kościoła pochodzącego, a dotąd w samych konstytucjach kapitulnych istniejącego, że ktokolwiek obowiązany jest do officium chóralnego, winien przynajmniej śpiew gregorjański znać dobrze. Spiew zaś gregorjański, który w wszystkich kościołach jakiegobądź rodzaju winien rozbrzmiewać jest ten, który wedle starych rękopisów do dawnego stanu przywrócon, Kościół w wydaniu autentycznem czcionkami drukarni watykańskiej już ogłosił.

Należy dbać i o polifonję kościelną.

V. Polecamy gorąco wszystkim, do których się to odnosi, kapele muzyków, jako że z biegiem czasu ustanowiono je w bazylikach i większych świątyniach w miejsce dawnych szkół z tem zadaniem. żeby tam polifoniczną przedewszystkiem wykonały muzykę. W sprawie tej nadmienić należy, że polifonję świętą stawia się na drugiem miejscu po śpiewie gręgorjańskim, z tego powodu pragniemy gorąco, aby tego rodzaju kapele, jak od XIV do XVI w. kwitnęły, tak dziś tam zwłaszcza się odrodziły i odżyły, gdzie liczne a okazałe nabożeństwa większej domagają się liczby śpiewaków i znamienitszego ich wyboru.

Szkoły chórów chłopięcych.

VI. Szkoły chłopców powstać powinny nietylko przy większych świątyniach i katedrach, ale także przy mniejszych i parafjalnych kościołach; niech nauczyciele kapel uczą chłopców należytego śpiewu, aby ich głosy wedle dawnego zwyczaju kościelnego łączyły się chórem męskim, zwłaszcza w muzyce polifonicznej, jak niegdyś użyć ich należy do sopranu, który nazywano zwykle cantus. Z ich grona, jak wiadomo, wychodzili, zwłaszcza w w. XVI, najlepsi mistrze polifonji, pomiędzy którymi niechybnie księciem jest ów słynny Jan Piotro Alojzy Palestrina.

Rola instrumentów w liturgji.

VII. Ponieważ dowiedzieliśmy się, że gdzieindziej usiłowano przywrócić pewien rodzaj muzyki, nie zupełnie, zwłaszcza z powodu nadmiernego użycia instrumentów, odpowiadający nabożeństwom, wyznajemy tu, że Kościół żadną miarą nie może śpiewu z towarzyszeniem instrumentów uważać jako doskonalszej i czynnościom świętym odpowiedniejszej formy muzycznej, wypada bowiem, żeby więcej niż instrumenta, głos rozlegał się w świątyniach, głos kleru, śpiewaków i ludu. Nie należy jednakże mniemać, że Kościół powstrzymuje rozwój muzyki,

stawiając ludzki głos ponad jakikolwiek instrument choćby przedni i doskonały nie zdoła w wyrażeniu uczuć wewnętrznych przewyższyć głosu ludzkiego, zwłaszcza w owych chwilach, kiedy dusza posługuje się nim, by modły i uwielbienin wznieść do wszechmocnego Boga.

Organy właściwym instrumentem kościelnym.

VIII. Istnieje też właściwy instrument muzyczny w Kościele, przekazany przez pokolenia poprzednie, zwany organami, one to uważało się ze względu na ich przedziwną jakąś górność i majestat, jako godne by z liturgicznem łączyły się obrzędami, czy to towarzysząc do śpiewu czy też, w czasie milczenia chóru, wedle przepisów, przesłodkie roztaczając harmonje. Ale i tu unikać trzeba owego mieszania rzeczy świętych z świeckiemi, które i z powodu wykonawców organ i niektórych orgaistów, pobłażających zwyrodnieniom najnowszej muzyki, doprowadziły do tego, że przedziwny ten instument odchylił się od wyznaczonym sobie celu. Prawda życzymy sobie żeby wszelka muzyka organowa wciąż się rozwijała, ale nie możemy wstrzymać od skargi, że usiłuje się, jak ongi, za pomocą innych form muzycznych słusznie przez Kościół wzbronionych, tak obecnie za pomocą najnowszych form wprowadzić do świątyni ducha świeckiego, formy te, skoroby się błyskotliwie poczęły panoszyć, musiałby Kościół bezwzględnie potępić. Niech w Kościele jedynie te rozbrzmiewają melodje, które uzmysławia majestat i tchną świętością obrzędów, pod tym bowiem warunkiem odrodzi się i sztuka tych, którzy budują organy, i tych, którzy ich używają, ku walnemu pożytkowi Świętej liturgji.

Trzeba śpiew grorjański przywrócić do użytku ludu.

IX. Im czynniej wierni w nabożeństwie uczestniczą, należy śpiew gregorjański w tych częściach, które się do ludu odnoszą do użytku ludu przywrócić. A naprawdę potrzeba nader wielka, aby wierni, nie jako obcy i niemi widzowie, lecz przejęci nawskroś pięknością liturgji łaki brali udział w świętych obrzędach—również i w uroczystych pochodach albo tak zwanych procesjach z ugrupowaniem kleru i stowarzyszeń—żeby naprzemian wedle ustalonych przepisów głos swój po głosach kapłanów albo szkoły podnosili. Jeśli się to pomyślnie rozwinie, nie znajdzie ta anomalja, żeby lud albo wcale, albo słabym jakimś i przyciszonym pomrukiem zaledwo odpowiadał podczas wspólnych modłów, odprawianych w języku liturgicznym albo ojczystym.

Szkolić lud w muzyce kościelnej przez szkoły i stowarzyszenia.

X. Usiłowanie obojga kleru powinno pod przewodnictwem Biskupów i Ordynarjuszy ku temu zmierzać celowi, aby albo sami albo przez innych mężów, rzeczy świadomych, otoczyli pieczołowitością wyszkolenie ludu w liturgice i muzyce, jako z nauką chrześcijańską złączonych. Osiągnie się to łatwiej zaprawianiem w śpiewie liturgicznym zwłaszcza szkół, stowarzyszeń pobożnych i innych zrzeszeń, domy zakonników, sióstr i niewiast pobożnych niech chętnie podążają do tego

celu w rozmaitych instytucjach, powierzonych sobie, jako instytucje wychowawcze i kształcące. Spodziewamy się również, że ważną w tym względzie odegrają rolę te stowarzyszenia, które w niektórych krajach zbiegają w zależności od władz duchownych o odrodzenie muzyki. więtej wedle wskazówek Kościoła.

Należy dbać o urobienie nauczycieli do śpiewu oraz o szkoły muzyczne.

XI. Aby zamiary te wszystkie osiągnąć. potrzeba nieodzownie wytrawnych i licznych bardzo nauczycieli. W sprawie tej pochwalamy owe szkoły i instytuty, tu i ówdzie w świecie katolickim założone, wpajając bowiem owe wiadomości, urabiają znakomitych bardzo i odpowiednich profesorów. Ale nadewszystko godzi się na tem miejscu wspomnieć i podnieść Papieską Szkołę wyższej muzyki kościelnej, w Mieście Wiecznem w r. 1910 przez Piusa X otworzoną; tę Szkołę, którą następnie najbliższy Nasz poprzednik Benedykt XV ochotnie popierał i nową udarował siedzibą, i My szczególniejszymi otaczamy względami, jako drogocenną spuściznę po dwóch Papieżach, i gorąco pragniemy ją wszystkim zalecić Ordynarjuszom.

Zachęta dla duszpasterzy.

Już zaś zdajemy sobie dokładnie sprawę, o ile powyższe zarządzenia Nasze wymagają wysiłku i pracy. Komu jednakże tajną jest rzeczą jak liczne i z jakim artyzmem wykonane dzieła przodkowie nasi, żadnemi nie znużeni trudnościami, przekazali potomności, ponieważ gorącą przejęci byli pobożnością i duchem liturgicznym? I nic dziwnego, co bowiem z owego wewnętrznego wypływa życia, którem żyje Kościół, przewyższa najdoskonalsze zamierzenia tego świata. Niech trudności największego tego poczynania podniecają i podnoszą, a nie zniechęcają serc Pasterzy Kościoła, poddając się zgodnie i wytrwale woli Naszej bez wyjątku, podejmą dla Najwyższego Pasterza pracę, pasterskiego urzędu swego najgodniejsza.

Moc obowiązująca niniejszej Konstytucji.

Oświadczamy to obwieszczamy i postanawiamy, zarządzając, aby Apostolska ta Konstytucja zawsze zachowała moc, siłę i skutek i wypełniona była jaknajściślej w całej rozciągłości i we wszystkich szczegółach, bez względu na jakiekolwiek tym przeciwne przepisy. Nikomu zatem nie wolno Konstytucji tej przez Nas ogłoszonej osłabiać albo zuchwale się jej sprzeciwiać.

Dan w Rzymie u św. Piotra, w dięćdziesiątą kapłaństwa Naszego rocznicę, dnia 20-grudnia r. 1928, pontyfikatu Naszego siódmego.

ŻYCIE MŁODZIEŻY.

Konferencja Ś-go Wincentego a Paulo akademiczek.

Myśl, rzucona przez O. Jacka Woronieckiego O. P. w gronie Zarządu Katolickiej Młodzieży Narodowej, aby młodzież akademicka poza pracą umysłową w murach wyższych uczelni, równolegle kształciła i urabiała swój charakter w duchu katolickim przez pełnienie dobrych uczynków i niesienie pomocy ubogim, dzięki opiece i poparciu ks. ks. Mauersbergera i Szwejnica znalazła swój wyraz w założeniu Akademickiej Konferencji św. Wincentego, a Paulo. Powstanie tej placówki ma doniosłe znaczenie ze względu na wysokie wartości moralno-wychowawcze, jakie konferencje jasno i otwarcie wnoszą do życia młodzieży akademickiej.

Patronem i wzorem działalności konferencji jest św. Wincenty a Paulo, który życie swe poświęcił służbie Chrystusowi w osobie biednych, uważając przytem, iż systematyczne uprawianie miłosierdzia nie jest wyłącznie zadaniem zakonników i instytucji do tego powołanych, lecz wogóle wszystkich ludzi.

Według św. Wincentego miłosierdzie jest dobrodziejstwem nietylko dla korzystających z niego, ale również dla pełniących je, jako środek wyrobienia i pogłębienia duszy. Łącząc w pracy głęboki umysł ze znajomością życia św. Wincenty przyczynił się niezmiernie do pozyskanis dla pracy nad ubogimi licznych rzeszludzi dobrej woli, tak że w dobie klęsk wojennych Francji w czasie wojny trzydziestoletniej i domowej ‚Frondy“, osoby działające w imię zasad św. Wincentego uratowały całe prowincje francuskie od głodu i nędzy.

Św. Wincenty działalnością swoją zapoczątkował i objął wszystkie dziedziny pracy społecznej, a więc. opiekę nad chorymi, niezdolnymi do pracy, pomoc bezrobotnym, opiekę nad niemowlętami i starcami. Wreszcie przytułki noclegowe, rozdawnictwo taniego i zdrowego pokarmu.

To też choć umarł w r. 1660, myśl jego pełnienia obowiązku miłosierdzia przez świeckich, żyje nadal od założenia w XIX w. przez Frederyka Ozammana pierwszej konferencji św. Wincentego. której zwyczaje są streszczeniem podanych przez nas zasad życia patrona.

Pracę oparto na niemożliwych do kwestjonowania dla katolików fundamentach miłości bliźniego i pracy dla zasłużenia nagrody wiecznej, bowiem głównym celem konferencji jest zbawienie nasze i bliźnich naszych. To naczelne założenie ma niezmiernie doniosłe znaczenie w dobie dzisiejszej, gdyż często sami katolicy tłumaczą sobie mylnie zasadę tę umieszczoną w statutach konferencji egoizmem. Wszak zbawienie nasze jest według nauki Kościoła jedynym celem życia naszego i wszystkie nasze uczynki i myśli powinny być skierowane ku niemu. Myśl o tem nie powinna nas ani na chwilę opuszczać, celu wiecznego ani na chwilę nie pewinniśmy tracić z oczu i zawsze z myślą o nim pracować. Najwidoczniej zapominają o tem ci wszyscy, w których powyższa zasada budzi zastrzeżenia.

Drugie założeniem Towarzystwa jest wyrabianie w członkach poczucia odpowiedzialności za wpływ, jaki wywierają na otoczeniu, wyrabianie dążności do zespolenia działania z oddziaływaniem, gdyż „konferencja przykładem i wzajemną radą ma utwierdzać członków w wypełnianiu obowiązków chrześcijańskich“.

Odwiedzać ubogich w ich mieszkaniach, zanosić im wsparcie materjalne, nadto udzielać hojnie pomocy i pociech religijnych, oddawać się wszelkim innym miłosiernym uczynkom i o ile nie są sprzeczne z głównym celem Towarzystwa.

Stąd w miarę rozwoju Towarzystwo otworzyło różne instytucje, które do dnia dzisiejszego nic nie straciły ze swej aktualności np. ogrody robotnicze, kolonje wakacyjne dla dzieci; bibljoteki, kasy mieszkaniowe, bezpłatny sekretarjat, czyli danie możności biednym konferencji korzystania z pomocy członków Towarzystwa, którzy piszą im listy, udzielają potrzebnych informacji, robią starania celem uzyskania posady lub pracy, udzielają pomocy prawnej. Wreszcie konferencja ćwiczy swych członków w trzech cnotach: miłosierdziu, braterstwie i roztropności chrześcijańskiej. W skład konferencji wchodzą członkowie: czynni, honorowi (na zebraniach nie bywają, płacą tylko miesięczną składkę), i dobroczyńcy, którzy dają ofiary na rzecz Towarzystwa.

Akademicka żeńska konferencja św. Wincentego a Paulo pracę swą rozpoczęła w czerwcu 1928 r. i po przerwie wakacyjnej od października prowadzi ją dalej. Zebrania odbywają się raz na tydzień; omawia się na nich stan rodzin, któremi konferencja opiekuje się, składa się sprawozdania z wydania otrzymanych pieniędzy na artykuły spożywcze, opał, lekarstwa i t. p., otrzymuje się wreszcie dalszy zasiłek pieniężny na nieodzowne zakupy. Rozumie się, że wysokość sum przekazanych dla zaspokojenia potrzeb biednych zależy każdorazowo od ilości pieniędzy w kasie, przyczem zasadą jest rozdzielenie całej zawartości.

Dotychczas środki swe czerpie konferencja z kwesty publicznej, jaka odbywa się w każdą niedzielę i święto podczas nabożeństw od godz. 10 do 12 i pół w kościele akademickim św. Anny (Krak. Przedm. 66) i ofiar zbieranych przez członków konferencji i wpisywanych do odpowiednich kwitarjuszy, wreszcie z kwesty pomiędzy członkami na każdem tygodniowem zebraniu. Odzież składają ofiarodawcy w zakrystji kościoła akademickiego. Przez czerwiec, październik, listopad, grudzień 1928 r. i styczeń, luty, marzec 1929 r. konferencja dwunastu rodzinom, któremi się opiekuje, udzieliła pomocy materjalnej na sumę 1736 zł. 26 gr.

Rozszerzenie grona konferencji (dotychczas 14 koleżanek), a tem samem wzięcia pod swą opiekę większej ilości rodzin, zależy wyłącznie od środków, jakie konferencja uzyska.

Bezpośrednia styczność z ubogimi, interesowanie się ich życiem i zaspakajanie ich potrzeb w miarę możności bez żadnych krępujących i zabierających tyle czasu formalności ma głębokie znaczenie dla pracy społecznej, bowiem ubodzy, którzy zewsząd tyle ucisku cierpią, pogłębiają w sobie wiarę, że Bóg nad nimi czuwa, a członkowie konferencyj rozszerzają swe pola widzenia świata przez powiększenie ram działalności dotychczas obejmujących przeważnie swój dom i swoje sfery towarzyskie i zapobiegają wzrostowi egoizmu przez stosowanie w życiu zasad, godnych młodych katolików czynu, nie tracąc nigdy z oczu nakazu, płynącego z naśladowania Chrystusa Pana, że bez miłości żaden zewnętrzny uczynek na nic się nie przyda, bo wiele czyni, kto wiele kocha i kto to, co czyni, dobrze czyni służąc więcej dobru powszechnemu niż własnej woli.

Zofja Skopińska.

RUSKA MŁODZIEŻ KATOLICKA.

Organizacyjny ruch katolicki wśród młodzieży ruskiej we Wsch. Małopolsce sięga początkiem swoim 1918 r., kiedy to za sprawą ks. dr. J. Markiewicza O. S. Bas. M. powstała we Lwowie pierwsza sodalicja Marjańska młodzieży gimnazjalnej i akademickiej. Mimo niesprzyjających stosunków wojennych ta pierwsza organizacja religijna młodzieży ukraińskiej rozwijała się pomyślnie. W październiku 1918 r. liczyła już ponad 30 członków. Odbywano perjodyczne zebrania, konferencje religijne oraz rekolekcje. Młodzież akademicka tak jak u innych słowian, tak i ruska zwraca się do Chrystusa i Jego Kościoła jako do jedynego źródławszelkiej siły moralnej.

Działalność sodalisów nie ogranicza się jednak tylko do pracy nad sobą. Wraz ze swoim wychowawcą duchownym ks. Markiewiczem przystępują w 1921 r. do wydawnictwa pierwszego w języku ukraińskim akademickiege organu katolickiego „Postup“ (Postęp). Czasopismo to wychodzi do dziś dnia, co prawda w innej formie i charakterze, jednakże w tymsamym duchu katolickim. „Postup“ był organem redagowanym przez młodzież akademicką (pod kierownictwem starszych), czytano go też głównie wśród młodzieży gimnazjalnej i akademickiej, Wydawnicza działalność pochłaniała też zupełnie uwagę i energję organizacji. Podczas gdy we Lwowie zapanował katolicki ruch akademicki to na prowincji powstał cały szereg ukrkińskich solidacji młodzieży. Powstawały one w różnych zakątkach kraju, w miastach a nawet po wsiach. W 125 sodalicjach zorganizowało się ponad dziesięć tysięcy młodzieży. Wszystkie sodalicje jednoczą się w Marjańskiem Towarzystwie Młodzieży we Lwowie. Towarzystwo to wydaje dzisiaj dwa organy: „Nasz Wistnyk“ i „Nasz Pryjatel“ i rozpowszeczniło przez swe wydawnictwa „Dobra Knyżka“, kierownik sodalis p. Mikołaj Moch) ponaddwa miljony swych egzemplarzy pism i książek.

Jesienią 1925 r. założono przy Ukraińskiej Chrześcijańskiej Organizacji, na której czele stoi ks. dr. T. Hałuszczyński O. S. Bas. M., Sekcję Akademicką, która pod hasłem „Omnia instaurare in Christo“ jednoczy katolicką młodzież ruską wyższych uczelni we Lwowie. Organizacja nosi charakter społeczno-katolicki. Zadaniem jej jest zorganizowanie i wychowanie akademików na świadomych swych zadań i celów katolików. Do osiągnięcia tego celu służą: perjodyczne zebrania z referatami utwierdzającymi katolickie poglądy na życie. Akademicy działają też w organizacji, mają swego przedstawiciela w Komitecie Centralnym, wyjeżdżają w sprawach organizacyjnych na prowincję, urządzają odczyty po czytelniach ludowych, prowadzą chóry cerkiewne, zakładają kółka U. Ch. O. Prócz tego, oczywiście, biorą udział w ogólnokademickiem życiu ukraińskiem.

W 1926 r. sekcja przejęła od sodalicji wydawnictwo akad. organu katolickiego „Postup“. Celem spopularyzowania swych ideałów wśród starszego społeczeństwa, „Postup“ ukazuje się od 1927 r. jako „Wiestnyk żyttia i literatuty“. Staje się więc ogólno-społecznym organem katolickim przeznaczonym dla młodszego pokolenia ruskiej inteligencji katolickiej. Sekcja liczy obecnie 56 członków pośród akademickiej

młodzieży płci obojga. W rekolekcjach ogólno-akademickich, urządzanych przez sekcję,uczestniczy zazwyczaj około 200 osób.

Widoki na przyszłość ma ta młoda katolicka organizacja młodzieży ukraińskiej akademickiej nadzwyczaj piękne. Wzrastać będzie w miarę tego, jak z każdym nowym rokiem napływać będzie nowy element ze średnich szkół, wychowany w Marjańskich sodalicjach.

Sekcja ma charakter apolityczny i jednoczy akademików o różnych zapatrywaniach, negatywnie odnosi się do wszelkich „lewych" i „radykalnych" kierunków społeczno-politycznych.

Młoda ta organizacja katolicka jeszcze nie wyzwoliła się i nie zdobyła samodzielności w stosunku do organizacyjnego ruchu katolickiego starszego społeczeństwa ukraińskiego. Wobec tego i dzisiaj jeszcze związana jest z losem macierzystego towarzystwa, z losem Ukr. Chrz. Organizacji. Obecnie wśród członków sekcji coraz bardziej wzrasta świadomość konieczności usamodzielnienia sekcji katolickiej akademików.

Na I-ym zjeździe katolickich słowiańskich organizacji akademickich w Krakowie wzięła katolicka młodzież ruska udział przez dwóch delegatów, których wysoki poziom przyczynil się do owocnych rezultatów zjazdu. Zawiązany na zjeździe kontakt między katolicką młodzieżą polską i ruską przyczyni się napewno do ułożenia wzajemnych stosunków w państwie, opartych na wzajemnych ideach Chrystusowych i wspólnej przeszłości historycznej. *Marek Bończa.*

RERUM ORIENTALIUM.

Męczennicy na wyspach Sowieckich. Na wyspach Sowieckich obecnie jest około 11,000 więźniów, przeważnie ludzi wykształconych, cierpiących za swoje przekonania religijne, bądź polityczne. Wsród nich jest 12 biskupów, z których jeden katolicki, mianowicie J. E. ks. biskup Bolesław Słoskan, reszta zaś prawosławni. Duchownych, kapłanów, jest dużo: katolickich księży jest 18 do których należy nadto zaliczyć dwu alumanów, Waronkę i Tisowskiego. Z księży znoszą tam dotychczas katusze: ks. ks. Aleksander Mikołaj. Chomicz Paweł, Dajnis Wincenty, Fiodorowicz Cezary prałat Fiodorow Leonid, Filip Adolf, Jemieljanow Potapjusz, Ilgin Wincenty, Krywińczuk Wiktor, Siwicki Kazimierz, Stysło Bazyli, Szawdzinis Mieczysław, kanonik Trojgo Jan, Wersocki Jan i inni, których nazwiska są jeszcze nieznane.

Więźniowie cierpią bardzo od chłodu i głodu. Całem ich pożywieniem jest czarny, suchy, często spleśniały i w niedostatecznej ilości udzielany chleb, suszona, nadgniła ryba i woda. Mieszkają w małych, przeważnie ziemnych celach o jednem okienku, nie opalanych. Wilgoć i brak powietrza dobijają więźniów. W małej celi liczba więźniów dochodzi zazwyczaj do 70; z braku powietrza mdleją lub umierają. Muszą pracować w tamtejszych dobrach, mając robotę, wyznaczoną ponad siły więźnia. Kto nie wykona wyznaczonej roboty, musi pracować bez posiłku w nocy. Brak łóżek i ubrania, brak najelementarniejszych wymagań hygjeny, dokuczliwe owady zwiększają niepomiernie dolegliwości więźniów. To też codziennie umiera po kilka osób.

W r. ub. został zamordowany ks. prof. Józef Białochow, oraz zmarzł w nocy

podczas rąbania drzewa ks. notarjusz Dominik Iwanow. Ogółem w roku zeszłym zmarło z głodu i zimna 3,214 osób.

Sowiecka walka z religją. W Moskwie odbyła się nadzwyczajna konferencja sowieckich wydziałów propagandy politycznej, zwołana dla omówienia zagadnienia walki z religją.

Konferencja stwierdziła, iż walka ta odbywa się w bardzo trudnych warunkach, gdyż nastroje mas ludowych nie sprzyjają wytworzeniu się trwałych prądów ateistycznych. Ogłoszone podczas obrad konferencji sprawozdanie związku „bezbożników "stwierdziło, iż związek ten napotyka w swej działalności na niechęć ze strony społeczeństwa. Gdy związek zwrócił się do pisarzy sowieckich z prośbą o współdziałanie w propagandzie przeciwko religji, olbrzymia większość pisarzy odmówiła współpracy. Pisarze odmówili również podpisania specjalnej odezwy, która z inicjatywy związku „bezbożników“ wezwać miała ludność Rosji do „pokonania przesądów religijnych“.

Po wysłuchaniu tego sprawozdania, korferencja omówiła projekt nowych sposobów walki z religją, uchwalając, między innemi, aby wykonywanie praktyk religinych przez urzędników sowieckich lub przez członków sowieckich związków zawodowych karane było usuwaniem z posady lub ze związków. Konferencja upoważniła związek „bezbożników“ do wydania 300 tysięcy broszur antyreliginych, musiała jednak przytem zaznaczyć, iż rozpowszechnianianie literatury ateistycznej odbywa się w Rosji w niekorzystnych warunkach, gdyż wszystkie związki „bezbożników“ razem wzięte liczą zaledwie 250 tysięcy członków, cerkiew zaś prawosławna posiada 350 tysięcy duchownych, 50 tysięcy rad parafjalnych, przeszło 50 tysięcy cerkwi i 50 klasztorów.

Konferencja wezwała rząd sowiecki, aby przekazał związkowi „bezbożników" historyczny klasztor Doński w Moskwie, w którym mieści się grób patrjarchy Tichona gdyż „bezbożników“ gniewa to, że grób patrjarchy stanowi miejsce pielgrzymek prawosławnej ludności Rosji.

Niepowodzeuie propagandy antyreligijnej w Rosji. Urzędnicy sowieccy Mikojan, Kubiak i Kamińskij, którzy powrócili do Moskwy ze swej podróży po Syberji przywieźli bardzo smutne dla bezbożników wiadomości. Największym błędem władzy sowieckiej było zaostrzenie przy obecnych trudnościach propagandy antyreligijnej. Z tego powodu w niektórych miejscowościach, gdzie usiłowano zamknąć cerkwie, doszło do krwawych starć między ludnością i oddziałami komsomolców. Wypadki takie zdarzyły się również w fabrykach, gdzie część robotników wystąpiła zdecydowanie i z niezwykłą energją przeciwko zamykaniu cerkwi.

Watykan przeciwko Moskwie. „Osservatore Romano“ wystąpił w sposób zdecydowany przeciwko rozpowszechnianym pogłoskom o nawiązaniu przez Watykan rokowań z rządem sowieckim, w celu przywrócenia pokoju religijnego w Rosji. W ostatnich latach państwo sowieckie badało grunt w Rzymie, chcąc uzyskać uznanie de jure zc strony Stolicy Apostolskiej. Po skrupulatnem badaniu Stolica Święta nie mogła udzielić tego uznania, ponieważ dotyczyłoby ono państwa, którego system społeczny i gospodarczy jaknajbardziej odbiega od zasad chrześcijańskich które to państwo w swem oparciu o materjalistyczny pogląd na świat jest państwem antychrześcijańskiem. Papież Pius XI już w allokucji i konsystorjalnej z 18 grudnia 1924 r. przeprowadził rozróżnienie między swą działalnością charytatywną na rzecz cierpiącego nędzę naroda rosyjskiego a swym stosunkiem do rządu rad, któremu w żadnym razie nie może sprzyjać.

REDAKTOR: **M. SOBAŃSKI.** WYDAWCA: **ST. BRZEZIŃSKI.**

Sekretarz Redakcji: **A. Grodecki.**

Drukaraia „OSTOJA“ Warszawa, Tamka 37, Tel. 336-73.